

PORTRET CZŁOWIEKA

- wywiad z Profesorem Janem Łaszczykiem



PROFESOR JAN ŁASZCZYK w tej ważnej rozmowie opowiada o życiowej drodze prowadzącej od rodzinnego domu nad Bugiem przez pierwsze doświadczenia szkolne i pedagogiczne, spotkania z Mistrzami i pracę naukową aż po lata szczególnej odpowiedzialności za Akademię Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej.

Jest to opowieść pełna wspomnień, ciepła, uważności i mądrego namysłu nad człowiekiem, edukacją oraz sensem bycia z innymi. Z refleksji Profesora i drobnych codziennych obrazów wyłania się portret Człowieka, dla którego pedagogika jest nie tylko dziedziną nauki, lecz także sposobem obecności przy drugim człowieku – uważnej, odpowiedzialnej i otwierającej przestrzeń do rozwoju.

Profesor mówi o pracy, odpowiedzialności, twórczości, uczniu zdolnym, technologiach i wspólnocie akademickiej, ale także o prostych gestach, w których najpełniej wyraża się prawdziwa troska o drugiego człowieka.

To portret Profesora i Mistrza, od którego warto uczyć się dobrej obecności – takiej, która daje przestrzeń, wspiera i pozwala rozkwitać.



Wywiad przeprowadziła
dr BEATA SZUROWSKA

„Mistrz dobrej obecności, która pozwala rozkwitać”

Panie Profesorze, bardzo dziękuję, że zgodził się Pan na tę rozmowę. Spotykamy się już po Jubileuszu pięćdziesięciolecia Pana pracy naukowej, dydaktycznej i akademickiej – pracy, która złożyła się nie tylko na imponujący dorobek, lecz także na historię ludzi i instytucji. Księga jubileuszowa pokazuje Pana Profesora jako uczonego, rektora, mistrza, przyjaciela, człowieka wspierającego innych. Chciałabym jednak, żebyśmy nie zaczynali wyłącznie od funkcji i osiągnięć, lecz od drogi, która do nich prowadziła. Jak Pan Profesor patrzy dzisiaj na tę drogę?

Była to droga, która zaczęła się bardzo zwyczajnie: w domu rodzinnym nad Bugiem, wśród pracy, codziennych obowiązków, prostych relacji i ludzi, którzy uczyli mnie wytrwałości, odpowiedzialności oraz wrażliwości na drugiego człowieka. Skoro jednak przypomina Pani obchody jubileuszowe, muszę powiedzieć, że było to dla mnie przeżycie właściwie nieporównywalne z żadnym innym. Przede wszystkim dlatego, że były dla mnie niemal pełnym zaskoczeniem. Nie był to termin, który kojarzyłby mi się z jakąś okrągłą datą, dlatego nie spodziewałem się takiej uroczystości. Dopiero pewne drobne sygnały zaczęły mnie zastanawiać: przełożone kolegium rektorskie, poranna obecność mojego zięcia w Akademii, a potem telefon profesora Marka Krawczyka, byłego rektora Uniwersytetu Medycznego w Warszawie, który zapytał, jak ma wjechać na „moją uroczystość”. Wtedy zrozumiałem, że dzieje się coś niezwykłego. Najważniejsze jednak było nie samo zaskoczenie, lecz to, co zobaczyłem później: gości, oprawę, obecność tylu osób, życzliwość środowiska, a także udział mojej rodziny. W pewnym sensie dopiero wtedy ten jubileusz stał się dla mnie naprawdę ważny. Poczułem się „nadmiarowo dowartościowany” – bardziej niż kiedykolwiek mógłbym sobie wyobrazić. Była w tym uroczystość naukowa, ale było też ciepło, serdeczność i bliskość. Liczne uczestnictwo rektorów uczelni warszawskich przyjąłem z ogromną wdzięcznością. Szczególne znaczenie miała dla mnie obecność rodziny, zwłaszcza wnuczki i zaprezentowanie jej prac plastycznych, jak się okazało znacznie wcześniej przygotowanych. Bardzo poruszające było również to, co powiedział po uroczystości mój syn. Przyznał, że nie spodziewał się, że w życiu zrobiłem tak wiele i że tyle ważnych dokonań mam za sobą. Usłyszeć coś takiego od własnego dziecka (zwłaszcza jeśli na co dzień nie mówi się wiele o sobie i swoich osiągnięciach) jest doświadczeniem naprawdę budującym.

Podczas Jubileuszu widziałam, jak bardzo był Pan Profesor wzruszony, a przecież rzadko pozwala Pan sobie publicznie na okazywanie tak osobistych emocji.

Tak, nie jestem w tej kwestii emocjonalnie wylewny, ale ten dzień był tak przygotowany, że właściwie każda jego część przynosiła nowe wzruszenie. Nie szukam takich celebracji i nie są mi one potrzebne, ale dziś mogę powiedzieć, że było to doświadczenie bardzo ważne i bardzo dobre. Wszystkim, którzy je współtworzyli, jestem za nie głęboko wdzięczny.



Prezentacja portretu prof. Jana Łaszczyka, namalowanego przez jego wnuczkę Ewę Ziętarę i przekazanego Jubilatowi podczas uroczystości jubileuszowej. Obok Jubilata JM Rektor APS dr hab. Barbara Marcinkowska, prof. APS. Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, Warszawa, 2025 r. Fot. archiwum APS.



Rodzina i bliscy prof. Jana Łaszczyka podczas uroczystości Jubileuszu 50-lecia pracy zawodowej Profesora. Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, Warszawa, 2025 r. Fot. archiwum APS.



Dr Maria Trzcińska-Król i dr hab. Joanna Łukasiewicz-Wieleba, prof. APS, z Zakładu Metodologii i Pedagogiki Twórczości wręczają prof. Janowi Łaszczykowi monografię jubileuszową „Filary przyszłości. Pedagogika zdolności, nowe technologie i rozwój akademicki”. Jubileusz 50-lecia pracy zawodowej Profesora, Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, Warszawa, 2025 r. Fot. archiwum APS.

Zanim pojawiła się Akademia, zanim pojawiły się naukowe zainteresowania i odpowiedzialność za uczelnię, był dom rodzinny, dzieciństwo, pierwsza szkoła i pierwsi nauczyciele. Gdzie to wszystko się zaczęło?

To wszystko rzeczywiście zaczęło się nad Bugiem, w Mężeninie. Było to na wsi, a więc w świecie codziennych obowiązków, pracy fizycznej, rytmu gospodarstwa rolnego i życia podporządkowanego naturze. W tym środowisku, trochę za sprawą charakterów moich rodziców, a trochę za sprawą czasu, w którym przyszło im żyć, ukształtował się milczący, ale niekwestionowany kult pracy. Rodzice, przede wszystkim z inicjatywy ojca, wybudowali własny dom oraz inne zabudowania gospodarcze. Ja urodziłem się jeszcze w domu moich dziadków, Telesfora i Zofii. Dziadka pamiętam już słabiej, ponieważ zmarł, kiedy byłem małym dzieckiem, ale właśnie dziadek i atmosfera tamtego domu bardzo mocno oddziaływały na kształtowanie się i rozwój małego chłopca. Panowało tam z jednej strony poczucie obowiązku i konieczności jego pełnego wypełniania, z drugiej zaś uważność na potrzeby drugiego człowieka. W tym domu obecna była także pamięć okresu międzywojennego i pewna szczególna otwartość na ludzi. Do Mężenina przed wojną przyjeżdżała na wakacje Wanda Wasilewska. Mieszkała w domu moich dziadków, a tworzyła wśród brzoź, z których część rośnie do dzisiaj. To tam powstała jej książka „Ziemia w jarzmie”, później znana i czytana przez kolejne pokolenia. W powieści, jak pamiętam, pojawiali się bohaterowie pod nazwiskami zmienionymi, ale rozpoznawalnymi dla miejscowych. Do Wandy Wasilewskiej przyjeżdżał Władysław Broniewski, pojawiał się także Janusz Korczak, który bywał w pobliskim majątku. Mimo zasadniczych różnic ideowych ludzie ci spotykali się, rozmawiali, odwiedzali się wzajemnie. Było w tym coś z atmosfery dawnego świata, w którym różnice poglądów nie zawsze przekreślały bliskość duchową i wrażliwość. Potem przyszła wojna i czas powojenny, który zmienił to miejsce. W rodzinnych i sąsiedzkich opowieściach żyła

pamięć partyzantki, między innymi oddziału „Młota”. Były to historie niejednoznaczne, trudne, związane zarówno z walką, jak i z napięciami społecznymi. Ludzie wspominali, że jednej nocy w jakimś domu spał oddział partyzancki, a już po południu przejeżdżał oddział UB, który miał go pacyfikować – tylko partyzantów już tam nie było. Cierpieli zwykli ludzie. Te wydarzenia wracały potem w wieczornych opowieściach dorosłych, których jako dzieci długo słuchaliśmy z ogromnym zaciekawieniem. Myślę, że one także w jakimś stopniu kształtowały moje widzenie świata, wartości i ludzkich losów.

Jakie wartości były najważniejsze w domu rodzinnym Pana Profesora?

Był to dom pracy, obowiązku i odpowiedzialności. Nie mówiło się o tym wprost, ale każdy wiedział, że praca ma wartość, że trzeba robić swoje, że nie wolno uchylać się od wysiłku. Tak jak w każdej ówczesnej wsi wiele czynności miało charakter fizyczny i codzienny. Jednocześnie w tym domu istniała wrażliwość na drugiego człowieka. Obowiązek nie oznaczał surowości pozbawionej ciepła. Przeciwnie – łączył się z uważnością, wzajemną pomocą i poczuciem, że człowiek jest odpowiedzialny nie tylko za siebie.

Teraz lepiej rozumiem obowiązkowość Pana Profesora: tę pracowitość, solidność i ogromne wymagania wobec samego siebie. Zapewne taki rys osobowości ukształtował się już w domu rodzinnym.

Myślę, że tak. Dzisiaj powiedziałbym, że uczyłem się tego nie tyle przez nakazy i słowne pouczenia, ile przez codzienny przykład. Rodzice i starsi członkowie rodziny pokazywali, że człowiek powinien rzetelnie wykonywać swoje zadania, ale powinien też widzieć obok siebie drugiego człowieka. Ważna była również otwartość na przekraczanie własnego środowiska: na nowość, na dalszą edukację, na coś, co wyprowadzało poza granice najbliższej wsi.

Czy jest jakaś postać z dzieciństwa, która szczególnie wpłynęła na Pana sposób myślenia o życiu?

Nie sposób pominąć tutaj oddziaływań rodziny i najbliższego otoczenia. Rozumiem jednak, że pyta Pani również o osoby spoza najbliższego kręgu. Trudno tutaj wyrokować, bo pamięć jest częściowo zatarta, ale opierając się na przekazach rodziców – głównie matki – oraz pozostałych śladach pamięciowych, bardzo ważną postacią był Wojciech Dziewoński, brat znanego aktora Edwarda Dziewońskiego. Przychodził do naszego domu, kiedy byłem jeszcze małym dzieckiem. Pamiętam, że uczył mnie czytać, pokazywał jak pisać litery. Wywodził się z bardziej intelektualnej tradycji tamtego środowiska, choć później żył w trudnych warunkach. Proponowano mu podobno posadę nauczyciela języka rosyjskiego, ale z powodów dla niego zasadniczych nie chciał jej przyjąć, więc najmował się do prac polowych. Przychodził także pomagać dziadkowi przy koszeniu i innych zajęciach gospodarskich. Dla mnie pozostał jednak przede wszystkim tym człowiekiem, który wprowadzał mnie w świat czytania i pisania. Bardzo ciepło wspominam tę naukę. Ale człowiekiem, który mocniej zapisał się w mojej dziecięcej pamięci, był dziadek Telesfor. Z dzisiejszej perspektywy myślę, że to właśnie on pokazywał mi pierwszy porządek świata. Nie uczył tego tylko słowami, ale także

sposobem bycia. Może dlatego, że wcześniej odszedł, noszę w sobie zapewne mocno wyidealizowany kult jego pamięci.

Wspomnienia, zwłaszcza te najważniejsze, nie zapisują się tylko jako obrazy. To polisensoryczny album, w którym są zapachy, smaki, dźwięki; czasem jedno zmysłowe doznanie otwiera furtkę do dawnego świata. Czy ma Pan Profesor takie wspomnienie z dzieciństwa?

Trafiła Pani, bo rzeczywiście jest takie wspomnienie związane z zapachem i smakiem, a zarazem z dziadkiem Telesforem. Jak powiedziałem, pamiętam go już trochę przez mgłę, ale zachowały się we mnie obrazy bardzo konkretne. Dziadek był już w starszym wieku, pomagał jednak w gospodarstwie, głównie zajmując się krowami. Wyprowadzał je na pastwisko, często chodził z nimi do lasu. Krowy pały się gdzieś przy drogach, a dziadek z tych wypraw przynosił poziomki i czarne jagody. Robił z kory drzewa coś w rodzaju małej, zaślepionej z jednej strony rurki, do której wsypywał owoce. Mieściła się tam chyba mniej więcej szklanka jagód albo poziomek. Do dziś pamiętam zapach i smak tych owoców. Potem, kiedy byliśmy już trochę starsi, sami chodziliśmy do lasu. Rok szkolny kończył się zwykle dwudziestego czwartego czerwca i właśnie wtedy dojrzewały poziomki. Braliśmy naczynia i szliśmy je zbierać. Matka robiła później naleśniki z poziomkami, a czasem jedliśmy po prostu poziomki z odrobiną śmietany i cukru. To jedno z tych wspomnień, które wraca nie tylko jako obraz, lecz także jako zapach, smak i obecność człowieka.

Uśmiecham się, bo tym wspomnieniem otworzył Pan Profesor także mój album w duszy. Zapach poziomek to również zapach mojego dzieciństwa: dobrej, kochającej babci i małego domku pod lasem. Dziadek Telesfor i Wojciech Dziewoński byli pierwszymi ważnymi nauczycielami. A potem przyszła szkoła. Jaka była ta pierwsza szkoła w Mężeninie?

Początek mojej edukacji odbywał się pod opieką jednego nauczyciela, pana Wróbla, który był kierownikiem szkoły. To nie była duża szkoła. Klasy liczyły po kilka lub kilkanaście osób, a ze względu na małą liczbę dzieci część klas była łączona. Z tego, co pamiętam, pierwsza klasa mogła być jeszcze osobno, a później łączono kolejne roczniki w pary. Samodzielna była dopiero klasa siódma, ponieważ pan Wróbel dbał o to, aby na tym etapie nauczanie było już bardziej systematyczne. Lubiłem chodzić do szkoły. Pamiętam, że czułem się w niej dobrze. Była niewielka, ale ważna, bo dawała pierwsze doświadczenie nauki, pierwsze spotkanie z nauczycielem jako kimś, kto nie tylko przekazuje wiedzę, lecz także organizuje życie lokalnej społeczności.



Leśna poziomka - jej smak, zapach i obraz zapisały się w albumie pamięci zarówno prof. Jana Łaszczyka, jak i dr Beaty Szurowskiej. Ilustracja wygenerowana z wykorzystaniem sztucznej inteligencji (ChatGPT/OpenAI) pod kierunkiem dr Beaty Szurowskiej.

Jakim uczniem był Pan Profesor?

W szkole podstawowej uczyłem się chyba szybko. Pamiętam sytuację, kiedy byłem w drugiej albo trzeciej klasie. Przyszła nowa nauczycielka i w pewnym momencie poprosiła mnie do starszej klasy, prawdopodobnie czwartej albo piątej. Zaczęła zadawać mi pytania z programu tej starszej klasy. Okazało się, że wiele rzeczy wiem, także z rachunków, podczas gdy starsi uczniowie nie potrafili odpowiedzieć. Miałem wtedy chyba posłużyć jako przykład, który miał ich zawstydzić. Dla mnie samego było to jednak doświadczenie dowartościowujące.



Prof. Jan Łaszczyk z wnuczką Ewą Ziętara podczas wystawy „Miejsce odbicia. Mężenin-Kolonia przez soczewkę Ewy Ziętary” w Galerii APS. Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, Warszawa, 2025 r. Fot. archiwum APS.



Ewa Ziętara, wnuczka Jubilata, z Marią Łaszczyk podczas wystawy „Miejsce odbicia. Mężenin-Kolonia przez soczewkę Ewy Ziętary”, przygotowanej w Galerii APS z okazji Jubileuszu 50-lecia pracy zawodowej prof. Jana Łaszczyka. Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, Warszawa, 2025 r. Fot. archiwum APS.

Można więc powiedzieć, że już w pierwszych latach nauki miał Pan Profesor w sobie tę łatwość uczenia się, która wyróżnia uczniów zdolnych?

Nie wiem, czy nazwałbym siebie dzieckiem zdolnym. Może rzeczywiście szybko się uczyłem. Później, w szkole średniej, nie byłem już jednak uczniem szczególnie wyróżniającym się. Trafiłem do klasy, w której byli koledzy po szkołach siedleckich, a tam poziom przygotowania był inny niż w mojej małej, wiejskiej szkole. Inne były wymagania, inne środowiska, inne tradycje edukacyjne. Na ich tle nie wypadałem już tak wyjątkowo. Nie

powtarzałem żadnej klasy, ale wywiadówki bywały dla rodziców przykre. Mimo to była to bardzo dobra klasa. Zawiazały się w niej ważne relacje, które przetrwały lata. Do dziś się spotykamy. Takie spotkania organizowane są co kilka lat, ale w mniejszych grupach spotykamy się znacznie częściej.

Czy pamięta Pan Profesora nauczyciela albo nauczycielkę, którzy mieli szczególne znaczenie dla Pana rozwoju?

Najważniejszą postacią z tego pierwszego etapu był pan Wróbel, kierownik szkoły i przez długi czas jedyny nauczyciel. Był bardzo oddany szkole. Poza tym był człowiekiem szanowanym przez wszystkich mieszkańców, właściwie nieformalnym autorytetem. Ludzie zwracali się do niego po rady w różnych sprawach: jak uprawiać ziemię, jak napisać podanie, jak rozwiązać jakąś życiową trudność. Doradzał, pomagał, pisał pisma, dzielił się wiedzą praktyczną. Był kimś więcej niż nauczycielem nie tylko dla nas – uczniów, ale dla całej lokalnej społeczności.

Panie Profesorze, chciałabym zapytać o Pana pierwsze realne doświadczenia pedagogiczne. Czy zanim rozpoczął Pan pracę akademicką, miał Pan bezpośredni kontakt ze szkołą, uczniami, praktyką nauczycielską albo pracą wychowawczą?

Tak, te doświadczenia pojawiły się dość wcześnie. Liceum pedagogiczne dawało bardzo dobre przygotowanie praktyczne. Mieliśmy szkołę ćwiczeń i właściwie już wtedy można było dość intensywnie wejść w codzienność pracy nauczycielskiej. Pamiętam, że kiedy byliśmy w ostatniej klasie, zdarzył się okres grypy. Nauczyciele chorowali i nasza klasa w dużej mierze prowadziła wtedy lekcje w szkole ćwiczeń. To była bardzo konkretna szkoła rzemiosła pedagogicznego. Uczyła nie tylko metodyki, lecz także pewnego sposobu bycia nauczycielem. Po ukończeniu liceum pedagogicznego przez pewien czas pracowałem w szkole podstawowej. Była to szkoła wiejska, ale prowadząca klasy od pierwszej do ósmej. Uczyłem tam różnych przedmiotów, między innymi historii, geografii i wychowania fizycznego. Byłem wtedy bardzo młody, właściwie niewiele starszy od niektórych uczniów. Dzisiaj widzę, że była to dla mnie dobra szkoła życia i bardzo ważne spotkanie z realiami edukacji.

Co dało Panu Profesorowi to pierwsze doświadczenie pracy w szkole?

To była szkoła, w której trzeba było radzić sobie z zastanymi warunkami. Szczególnie pamiętam wychowanie fizyczne. Prowadzenie lekcji w-f na wsi stanowiło prawdziwe wyzwanie. Wiosną, latem czy jesienią można było wyjść na trawę, na boisko, coś zorganizować. Zimą sytuacja była znacznie trudniejsza, bo nie było sali gimnastycznej, nie było właściwych warunków.

Ja ze swojego dzieciństwa pamiętam lekcje wychowania fizycznego na korytarzach szkolnych.

W mojej szkole nie było nawet korytarzy, które nadawałyby się do ćwiczeń, więc trzeba było szukać innych rozwiązań. Jednym z takich zajęć było dokarmianie zwierząt. Koło łowieckie przywoziło do szkoły karmę, braliśmy z dziećmi sanki i szliśmy po polach. Bywało

zimno, wiało, ale to także była forma ruchu, wspólnego działania i odpowiedzialności. Pamiętam też pomysł z lodowiskiem. Był staw, ale chciałem, żeby dzieci miały bezpieczne miejsce do jazdy na łyżwach. Odgarnialiśmy śnieg, strażacy przyjechali z motopompą i polewali teren wodą. Rok był zupełnie niesprzyjający, bo wcześniej spadło dużo śniegu, a ziemia pod nim nie była zamarznięta. Wszystko trwało długo, wymagało wysiłku, organizacji i cierpliwości. A potem przyszła odwilż, więc znaczna część aktywności dzieci skupiała się wokół samego tworzenia tego lodowiska. Ale to też było wychowanie fizyczne, tylko rozumiane szerzej: jako działanie, praca zespołowa i uczenie się, że coś można wspólnie zrobić. Poza tym warunki były inne niż dzisiaj. Dzieci nie miały strojów sportowych, nie miały dresów. Przychodziły często w zwykłych, ciężkich butach. Piłki też były inne, sztywne, łatwo pękały i zdarzało się, że całe popołudnie je zszywałem, żeby następnego dnia znów mogły służyć dzieciom. A po godzinie kopania często piłka nie nadawała się do gry i znów trzeba było ją zszywać.



Prof. Jan Łaszczyk podczas zajęć sportowych i apelu na koloniach letnich, na których pełnił funkcję kierownika. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.

Czy z tamtej pracy szkolnej pozostało Panu Profesorowi jakieś szczególne wspomnienie?

Pamiętam, że wtedy funkcjonowały konferencje metodyczne organizowane przez wydziały oświaty. Odbýwały się co jakiś czas w różnych szkołach. Szkoła przygotowywała miejsce obrad, lekcje pokazowe i tematykę spotkania oraz obiad. Myślę, że było to wartościowe działanie, bo integrowało środowisko nauczycielskie. Dzisiaj nie dostrzegam takich form środowiskowego spotkania nauczycieli. Wtedy dawało to poczucie, że nauczyciel nie jest sam, że należy do pewnej wspólnoty zawodowej. Była to szkoła trudna, ale dobra. Uczyła pokory wobec realiów i jednocześnie rozwijała pomysłowość oraz kreatywność. Pokazywała, że nauczyciel nie może oczekiwać idealnych warunków pracy, bo ich tam nie było, nawet w podstawowym standardzie. Nauczyłem się, że muszę umieć działać w konkretnej sytuacji, z konkretnymi dziećmi, w konkretnej przestrzeni, dając z siebie jak najwięcej.

Czy doświadczenia wychowawcze pojawiały się także poza szkołą?

Tak. Ważnym doświadczeniem były kolonie letnie. Przez kilka lat, głównie w okresie studenckim, jeździłem jako członek kadry kolonijnej w różne miejsca. Pełniłem tam różne funkcje: byłem wychowawcą, ratownikiem, kierownikiem kolonii, czasem zajmowałem się także sprawami kulturalno-oświatowymi. Przeszedłem właściwie przez wszystkie możliwe funkcje kolonijne. Była to praktyka bardzo realna, bo wymagała odpowiedzialności za dzieci, organizacji dnia, troski o bezpieczeństwo i umiejętności bycia z grupą poza klasą szkolną. W takich warunkach człowiek szybko uczy się, że wychowanie nie odbywa się tylko przez słowa i zaplanowane zajęcia, ale także przez obecność, reakcję na sytuację, odpowiedzialność i codzienne bycie z dziećmi.

Co te pierwsze spotkania z praktyką edukacyjną pokazały Panu Profesorowi o dziecku, uczniu, nauczycielu i wychowaniu?

Zobaczyłem, że szkoła jest przede wszystkim rzeczywistością praktyczną. Idee pedagogiczne są ważne, ale jeśli nie da się ich osadzić w warunkach szkolnych, pozostają tylko teorią. Nauczyciel musi widzieć dziecko, ale musi też widzieć salę, podwórko, pogodę, środowisko, rodzinę i wszystkie ograniczenia, które wpływają na codzienność edukacji. Zrozumiałem również, że nauczyciel nie tylko przekazuje wiedzę. On tworzy warunki, organizuje sytuacje, czasami improwizuje, czasami ratuje to, co w planach wyglądało zupełnie inaczej. Nauczyciel jest kimś, kto powinien umieć rozpoznać i rozwijać możliwości dziecka, ale musi też rozumieć granice systemu i konkretnego miejsca.

Czy ta szkoła była dla Pana Profesora miejscem, które bardziej pokazywało możliwości człowieka, czy raczej ograniczenia systemu edukacyjnego?

Jedno i drugie. W szkole ujawniają się możliwości dziecka, ale szkoła pokazuje również, jak łatwo te możliwości mogą zostać niewykorzystane przez organizację, brak czasu, brak warunków albo brak właściwego rozumienia ucznia. Później, kiedy interesowałem się nauczaniem problemowym, zobaczyłem to bardzo wyraźnie. Wiele pięknych koncepcji pedagogicznych rozbija się o system klasowo-lekcyjny. Uczniowie zaczynają rozwiązywać problem, pojawia się dzwonek i praca zostaje przerwana. W takiej strukturze trudno podtrzymać naturalny tok myślenia dziecka. Sama organizacja szkoły bywa więc w sprzeczności z tym, co pedagogicznie wydaje się wartościowe.

Czy można dobrze uprawiać pedagogikę, nie rozumiejąc codzienności szkoły?

Myślę, że można, ale jest to trudne. Pedagogika nie może być oderwana od praktyki. Można tworzyć teorie, ale jeśli nie rozumie się szkoły, dziecka, nauczyciela i warunków, w jakich oni funkcjonują, łatwo budować koncepcje piękne, lecz nierealne. Dla mnie ważne było zawsze patrzeć, jak coś działa w praktyce: co się udaje, co się nie udaje, dlaczego nauczyciele nie korzystają z pewnych rozwiązań, mimo że mogą uznawać je za wartościowe. Często problem nie polega na braku dobrej woli, lecz na tym, że warunki szkolne nie pozwalają danej koncepcji naprawdę zaistnieć.

Przyznam, że sama wiele razy czytałam założenia różnych koncepcji pedagogicznych – pięknych, mądrych i niezwykle wartościowych – które jednak bardzo trudno było przełożyć na codzienną pracę w polskich uwarunkowaniach i w naszym systemie edukacyjnym. Pracowałam w szkole i w przedszkolu, więc dobrze znam zarówno środowisko nauczycieli, jak i realia ich pracy. Dlatego zawsze boli mnie, kiedy zbyt łatwo mówi się, że nauczyciele nie są otwarci na rzeczy dobre i nowe, bo mają złe nawyki albo nie chcą zmian. Czasem problem leży zupełnie gdzie indziej: w przestrzeni, czasie, liczbie dzieci, wymaganiach programu, dokumentach, odpowiedzialności za przygotowanie dziecka do kolejnego etapu.

Tak. Takie opinie z pewnością nie są sprawiedliwe. Wielokrotnie rozmawiałem z nauczycielami o różnych koncepcjach. Mówili: dobra teoria, świetna teoria. Kiedy jednak pytałem, czy ją stosują, okazywało się, że nie. I to nie zawsze dlatego, że nie mieli dostatecznej motywacji lub niezbędnych umiejętności. Bardzo często koncepcja oceniana jako wartościowa zawisa w próżni dlatego, że warunki szkolne pozostają z nią w sprzeczności. Nie można więc oddzielać pomysłów koncepcji od realiów realizacyjnych. Jeśli pedagogika ma być odpowiedzialna, musi uwzględniać codzienność szkoły: jej rytm, ograniczenia, obowiązki nauczyciela i właściwości konkretnych dzieci, z którymi pracuje.

Co według Pana Profesora jest najważniejsze w pracy nauczyciela z dzieckiem lub młodym człowiekiem?

Najważniejsze jest chyba tworzenie warunków do rozwoju, a nie modelowanie człowieka według z góry przyjętego wzorca. Nauczyciel powinien dawać możliwości, zachęcać, inspirować, wspierać, ale nie powinien traktować dziecka jak materiału do uformowania. Człowieka nie należy wychowywać przez narzucenie mu gotowego kształtu. Myślę, że warunkiem powodzenia w pracy wychowawczej jest akceptacja wychowanka takim, jakim jest: z jego siłą i słabością, możliwościami i ograniczeniami. Jeśli wychowawca zaczyna od założenia, że ma kogoś zmienić według własnego projektu, to w gruncie rzeczy ma niewielkie szanse powodzenia.

Tak. Przecież tak trudno jest zmienić samego siebie, a coś dopiero drugiego człowieka...

No właśnie.

Czy już wtedy interesowało Pana Profesora, dlaczego jedni uczniowie rozwijają skrzydła, a inni nie pokazują w pełni swoich możliwości?

Zaczątki takiego myślenia sięgają chyba jeszcze czasów liceum pedagogicznego, choć zapewne nie formułowałem wówczas tego zagadnienia w ujęty przez Panią sposób. To pytanie dojrzało stopniowo. Najpierw było doświadczenie szkoły, później praca z uczniami, potem zainteresowanie nauczaniem problemowym, twórczością, zdolnościami i technologiami. Wszystko to łączyło się z pytaniem, jak uruchomić możliwości człowieka, jak nie zgubić tego, co w nim żywe, ciekawe, własne. Z czasem coraz wyraźniej widziałem, że pedagogika powinna szukać sposobów wspierania rozwoju, a nie tylko opisywać

ograniczenia. Powinna pomagać zobaczyć w dziecku potencjał, ale także rozumieć warunki, w których ten potencjał może się rozwinąć albo zostać przytłumiony.

Co sprawiło, że to właśnie pedagogika stała się Pana Profesora wyborem zawodowym – była to świadoma decyzja, wpływ ważnych osób, czy raczej splot okoliczności?

Był w tym chyba splot okoliczności, ale także wpływ domu, szkoły i mojej matki. Nie wykluczam, że duże znaczenie miała tu postać wspomnianego wcześniej pana Wróbla. W tamtym środowisku nauczyciel był człowiekiem ważnym, szanowanym, potrzebnym innym. Być może matka chciała, abym uzyskał taką właśnie pozycję i dlatego zachęciła mnie, a właściwie zdecydowała, że powinienem pójść do liceum pedagogicznego. Nie miałem poczucia, że pedagogika jest wyborem przypadkowym, ale nie była to też od razu poważna, klarowna decyzja życiowa. Ona dojrzewała. Były momenty, w których mogłem pójść inną drogą. Myślałem nawet o studiach w Olsztynie, związanych z gospodarką wodną albo rybactwem. Ciągnęła mnie woda, przyroda, ten świat związany z rzeką, rybami, z czymś trochę innym niż klasyczna droga nauczycielska. Ostatecznie jednak ważne okazały się sprawy rodzinne i praktyczne. Nie chciałem obciążać rodziców kosztami utrzymania poza miejscem zamieszkania, a perspektywa otrzymania stypendium nie rysowała się wyraziście. Nie chciałem być dodatkowym obciążeniem, nawet nie złożyłem dokumentów na tamte studia i podjąłem na rok pracę w szkole. Potem pojawiły się Siedlce i Wyższa Szkoła Nauczycielska. Spotkałem kolegów, którzy już tam studiowali, zobaczyłem środowisko studenckie, inny sposób życia i myślenia. Spodobało mi się to. Okazało się też, że dzięki stypendium jestem w stanie samodzielnie się utrzymać. Jednocześnie uaktywniły się zapewne efekty wyniesionej z liceum formacji pedagogicznej. I tak stopniowo moja droga zaczęła układać się coraz wyraźniej w stronę pedagogiki.

Czy kiedykolwiek żałował Pan Profesor tego wyboru?

Nie przypominam sobie takiego stanu, w którym mógłbym powiedzieć, że żałowałem. Oczywiście były w moim życiu okresy bardzo trudne, głównie finansowo. Pedagogika nie była i nie jest profesją pozwalającą skutecznie zaspokajać potrzeby rodziny, toteż sytuacji wywołujących napięcia i emocje nie brakowało. Szczególny dyskomfort powstawał wówczas, gdy nie mogliśmy zapewnić dzieciom atrakcyjnych nowinek, modnych ubiorów bądź zabawek. Takie sytuacje człowiek przeżywał boleśnie, bo dotyczyły najbliższych. Ale nie pamiętam, abym myślał, że źle zrobiłem, idąc tą drogą. Gdybym dzisiaj miał odpowiedzieć na pytanie, czy wybrałbym ją ponownie, nie widzę powodów, dla których miałbym ją odrzucić. Z obecnej perspektywy oceniam, że droga ta dała mi możliwość samorealizacji, pracy z ludźmi, uczestniczenia w czymś rozwoju. A to chyba zawsze było dla mnie ważne, więc nie żałuję.

Jak studia w Krakowie wpłynęły na Pana sposób myślenia o pedagogice i o własnym miejscu w nauce?

W tamtym czasie nie było tak, jak dzisiaj, że każdy kto ukończył pierwszy stopień studiów mógł automatycznie kontynuować naukę. Drugi stopień był dla wybranych,

potrzebna była rekomendacja. Po ukończeniu studiów w Siedlcach dziekan skierował dwie osoby z mojego kierunku na dalsze studia. Można było wybrać Uniwersytet Warszawski albo Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Krakowie. Wybrałem Kraków. Były to dwuletnie studia uzupełniające. Myślę, że właśnie tam moja droga naukowa zaczęła się wyraźniej formować. To był przede wszystkim czas czytania, myślenia i porządkowania własnych zainteresowań. W Siedlcach życie studenckie było bardziej związane z działaniami praktycznymi, w tym aktywnością praktyczno-życiową, niż z pogłębionym studiowaniem. Egzaminy zdawałem dość łatwo, często w terminach zerowych, bo po liceum pedagogicznym byłem dobrze przygotowany metodycznie i zawodowo. W Krakowie było inaczej. Większość czasu spędzałem w bibliotekach. Dużo czytałem, nie tylko z pedagogiki, ale także z obszarów bliskich filozofii i naukom społecznym. Wtedy chyba pojawiło się głębsze przekonanie, że z tą dziedziną będę wiązał swoją przyszłość. Ważne było też samo środowisko. Byli tam ludzie, którzy ukończyli studia pierwszego stopnia w ośrodkach akademickich: Krakowie, Szczecinie, Kielcach i innych miastach. Życie akademickie miało wymiar wspólnotowy. Mieszkaliśmy w akademikach Miasteczka Studenckiego, spotykaliśmy się w gronie studentów różnych uczelni, dyskutowaliśmy, organizowaliśmy wspólne wyjazdy. Pamiętam wycieczki w Bieszczady, Gorce, Pieniny. To nie były tylko wyjazdy turystyczne. One budowały więzi i tworzyły atmosferę wspólnego studiowania.



Prof. Jan Łaszczyk w czasach studenckich. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.

Czy właśnie wtedy pedagogika zaczęła się Panu Profesorowi odstaniać nie tylko jako przygotowanie do zawodu, lecz także jako przestrzeń myślenia o człowieku i jego rozwoju?

Myślę, że tak. W Krakowie zacząłem widzieć pedagogikę szerzej. To był moment, w którym pedagogika zaczęła stawać się dla mnie naprawdę ważna, wyznaczając kierunek drogi intelektualnej.

Jak rozpoczął się ten ważny rozdział Pana życia zawodowego – związany z Akademią, a właściwie z ówczesnym Państwowym Instytutem Pedagogiki Specjalnej?

Po studiach miałem różne możliwości. Była propozycja pracy w Siedlcach, była możliwość pozostania w Krakowie, ale nie widziałem tam dla siebie perspektyw mieszkaniowych. Coraz wyraźniej skłaniałem się ku Warszawie. Tutaj widziałem miejsce dla urządzenia własnego życia. Na spotkanie z kierującym wtedy Instytutem doc. dr. Szczepanem La-reckim umówiłem się późno, bo po studiach pojechałem jeszcze na wymianę studencką na Węgry. Usłyszałem podczas tego spotkania, że niestety ruch kadrowy jest już zakończony. Rektor zaproponował, żebym przez rok popracował w zakładzie wychowawczym przy ulicy Barskiej, nabrał doświadczenia i zgłosił się wcześniej w następnym roku. Dodał jednak, że być może dziekan będzie miał dla mnie jakąś propozycję, ale powinienem zwrócić się bezpośrednio do niego. Tym dziekanem był wtedy profesor Andrzej Góralski. Poszedłem do ówczesnego docenta Góralskiego, który rzeczywiście miał dla mnie propozycję. Chyba z miejsca dostrzegł możliwość długotrwałej współpracy. Powiedział wtedy mniej więcej tak: „Proponuję, żebyśmy na początek zawarli ze sobą takie małżeństwo”. Ale od razu dodał: „Niech pan jednak pamięta, że bywają małżeństwa nieudane i wtedy ludzie się rozwodzą”. Tak się zaczęło. I mimo że różnie się w tym „małżeństwie” układało, nie rozwiedliśmy się do końca jego życia.

Podczas Jubileuszu powiedział Pan Profesor, że mistrzostwo jest drogą, a być na drodze do mistrzostwa to iść po śladach Mistrzów, ale także po śladach samodzielnie wydeptanych – wyznaczanych przez własne wybory, doświadczenia i błędy. Jest w tej myśli głęboka refleksja nad dojrzewaniem człowieka, ale jest też wdzięczność wobec tych, którzy wcześniej zostawili swoje ślady. Jakich Mistrzów spotkał Pan Profesor na swojej drodze?

Z pewnością takim bardzo ważnym człowiekiem był dla mnie Profesor Góralski. Nasza relacja miała dwa oblicza. Z jednej strony była współpraca, z drugiej pewien spór, czasem sprzeciw z mojej strony wobec jego pomysłów. Dużo się od niego nauczyłem: organizowania pracy i własnego życia zawodowego, podejmowania inicjatyw, budowania zespołów, delegowania zadań. Zrobiliśmy razem bardzo dużo rzeczy: sympozja, konferencje, projekty badawcze, działania związane z komputeryzacją i informatyką w edukacji. Profesor Góralski miał ogromną energię organizacyjną i intelektualną. Potrafił uruchamiać ludzi i realizować przedsięwzięcia, które innym mogłyby się wydawać zbyt trudne albo zbyt odległe.

A na czym polegało to drugie, trudniejsze oblicze tej relacji?

Jednocześnie były rzeczy, z którymi się nie zgadzałem. Profesor Góralski miał silną potrzebę kształtowania ludzi według własnego, określonego wzorca. Ja z czasem coraz bardziej się temu sprzeciwiałem. Nie chciałem traktować człowieka jak materiału, który można uformować według własnego zamysłu. Pod tym względem stałem się właściwie jego przeciwnikiem. Dla mnie ważniejsze było tworzenie możliwości niż wymuszanie określonego kierunku i kształtu. Dotyczyło to również mnie samego, moich zainteresowań i pracy badawczej. Chciałem robić swoje, choć to nie przyszło od razu.

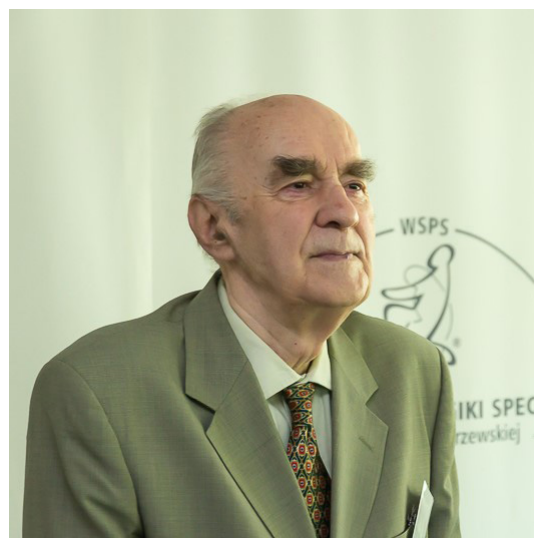
W początkowym okresie więcej było fascynacji – profesor A. Góralski był człowiekiem niezwykle inteligentnym, o szerokich horyzontach i bardzo silnej osobowości. Z czasem jednak zacząłem odczuwać coraz większą potrzebę oddzielenia się. To nie było łatwe: sprzeciwić się komuś, kto był dla mnie mistrzem. Jednak myślę, że w pewnym momencie uczeń musi odrzucić mistrza – nie w sensie przekreślenia go, ale w takim znaczeniu, że mistrz przestaje być wyrocznią. Relacja powinna przejść w bardziej partnerską. Jeśli mistrz tego nie akceptuje, pojawia się napięcie. Nie przekreśla to jednak wdzięczności ani szacunku. Czasem jest po prostu konieczne, aby człowiek mógł się realizować w zgodzie z samym sobą.

To trochę podobne do relacji z rodzicami. Na początku są dla dziecka niekwestionowanym autorytetem, ale później w naturalny sposób przychodzi czas indywidualizacji i separacji – konieczny, żeby człowiek mógł dojrzeć i stać się sobą. Dziecko nie przestaje kochać ani cenić rodziców, ale zaczyna się buntować, przestaje ich idealizować, chce podejmować własne decyzje i iść własną drogą.

To dobre porównanie. Tak dokładnie wyglądała moja relacja z Profesorem A. Góralskim. Była to relacja najważniejsza w moim życiu zawodowym – mistrzowska, ale nie bezkrytyczna.

Czy zanim spotkał Pan Profesora A. Góralskiego, miał Pan innych Mistrzów albo ludzi, którzy zostawili w Pana pamięci ważny ślad?

Tak. Jeśli sięgnąć do początku, to był nim z pewnością wspomniany już wcześniej pan Wróbel, mój pierwszy nauczyciel i kierownik szkoły. Dał mi przekonanie, że warto o coś zabiegać, że warto ponosić wysiłek, trwać przy zamiarze i nie ustępować zbyt łatwo. Był też człowiekiem, który sam przeszedł przez bardzo trudne doświadczenia. Dość wcześnie stracił żonę i sam wychowywał dwóch synów, których również stracił. Mimo tak bolesnych doświadczeń pan Wróbel znośił swoje życie dzielnie i godnie. Takim go zapamiętałem: jako człowieka samotnego, ale wewnętrznie mocnego, który potrafił nieść własne trudności z godnością. To we mnie pozostało. W czasie studiów także spotkałem osobę, która wywarła na mnie duże wrażenie. Nie chcę przywoływać nazwiska, ale był to docent prowadzący zajęcia z kultury żywego słowa. Miał wysoką kulturę bycia i zdolność tworzenia relacji. Było w nim coś pociągającego intelektualnie i osobowościowo. Słuchałem go uważnie, wiele mnie nauczył i przekonał do wartości wiedzy jako czegoś, co naprawdę należy cenić.



Prof. zw. dr hab. Andrzej Góralski – mistrz, pierwszy przewodnik naukowy i wieloletni współpracownik prof. Jana Łaszczyka, związany z rozwojem heurystyki i pedagogiki twórczości. Fot. archiwum APS.

1 października 1975 roku rozpoczął Pan pracę w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej jako asystent stażysta. Co było najważniejsze w pracy akademickiej w tamtym czasie?

Najważniejsze było chyba to, że wiele rzeczy powstawało z realnej potrzeby i wspólnej pracy. Tworzyliśmy środowisko, organizowaliśmy sympozja, konferencje, przygotowaliśmy materiały, prowadziliśmy badania. Wiele rzeczy robiło się niemal ręcznie, z ogromnym wysiłkiem organizacyjnym, ale też z poczuciem sensu. Zainteresowania profesora Góralskiego dotyczyły głównie heurystyki. Prowadził seminaria w Polskim Towarzystwie Cybernetycznym przy ulicy Mokotowskiej. Dołączyłem do tego środowiska trochę w naturalny sposób: zapraszał mnie, pisaliśmy coś wspólnie, przygotowaliśmy materiały z sympozjów. Później prowadziliśmy program badawczy dotyczący nauczycieli. Przystąpiliśmy do programu „Informatyka dla szkolnictwa” i z tych środków kupiliśmy pierwsze komputery. Nikt wtedy nie myślał, żeby z grantu wypłacać sobie pieniądze. Kupowaliśmy sprzęt, bo był potrzebny do pracy i rozwoju naszego przedsięwzięcia. To było zupełnie inne podejście niż obecnie. Byliśmy pierwszą uczelnią pedagogiczną w Polsce, w której wszyscy kandydaci na nauczycieli przechodzili zajęcia z obsługi komputera. Te komputery nie przypominały dzisiejszych urządzeń, ale dla nas i dla studentów otwierały zupełnie nową przestrzeń. Zaczęliśmy widzieć, że technologia może stać się narzędziem edukacji, że może przyciągać uczniów zdolnych, że można tworzyć dzięki niej nowe możliwości. Bardzo dobrze pamiętam też tworzenie pracowni komputerowej. Nawiązaliśmy kontakt z Zakładem Poprawczym w Studzieńcu. Pojechaliśmy tam kiedyś z dwoma małymi komputerami, pokazaliśmy proste programy. Zainteresowanie było ogromne. Zostawiliśmy im nawet jeden komputer na miesiąc, żeby mogli go wypróbować. Tak zrodziła się dobra relacja. Kiedy później potrzebowaliśmy przygotować pracownię, bez wahania się tego podjęli. Przyjechali od razu ze swoimi materiałami. Mieliśmy dużą salę przy ulicy Banacha, którą trzeba było podzielić na dwie części. Przegrodzili ją, złożyli konstrukcję, wszystko przygotowali. Ktoś załatwił płyty, ktoś inny metalowe rusztowanie, ktoś spawał, ktoś przywoził materiały. W jeden dzień powstała pracownia. To był wyraźny przykład wspólnej pracy, takiego akademickiego rękodzieła: mniej sformalizowanego niż dziś, ale pełnego zaangażowania, poświęcenia i poczucia, że naprawdę warto.

Panie Profesorze, chciałabym teraz zapytać o Pana zainteresowania naukowe. Jakie obszary badawcze były dla Pana najważniejsze na początku pracy akademickiej?

Na początku bardzo ważne było dla mnie kształcenie problemowe i poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, jak uczyć przez rozwiązywanie problemów. Interesowało mnie, co dzieje się wtedy, gdy uczeń nie tylko przyswaja gotową wiedzę, lecz sam zaczyna szukać, próbować, analizować i dochodzić do rozwiązania. To było bardzo bliskie późniejszej pedagogice twórczości, choć nie można tych dwóch obszarów tak po prostu utożsamiać. Moje zainteresowanie tym zagadnieniem zaczęło się, wbrew pozorom, od pracy magisterskiej. Pisałem ją na temat aktywizacji uczniów za pomocą nauczania programowanego. Można by sądzić, że prowadziło mnie to w stronę algorytmizacji nauczania, ale dla mnie najważniejszy okazał się wtedy blok problemowy. Przygotowywałem lekcje według tej koncepcji i zobaczyłem, że samo programowanie nie jest

istotą sprawy. Istotą jest rozwiązywanie zadań i problemów. To wydało mi się ważne i warte dalszego rozwijania.

Czyli można powiedzieć, że doświadczenia związane z nauczaniem programowanym, zwłaszcza z programem blokowym, łączącym ideę programowania dydaktycznego z logiką nauczania problemowego, stały się dla Pana Profesora punktem wyjścia do późniejszych badań nad aktywnością poznawczą ucznia, twórczością i rozwojem zdolności?

W uproszczeniu można tak powiedzieć. Interesowało mnie, co dzieje się z uczniem w sytuacji podjęcia zadania, trudności, problemu, który trzeba samodzielnie rozwiązać. Dlatego bardzo szybko zacząłem przyglądać się praktyce szkolnej. Chciałem wiedzieć, jak nauczyciele rzeczywiście pracują, co się udaje, dlaczego się nie udaje, co pozostaje jedynie dobrą teorią, a co może wejść do realnego działania. Potem stopniowo narastało zainteresowanie twórczością uczniowską i uczniem zdolnym. To nie była droga zaplanowana od początku jako zamknięty program, lecz raczej stopniowe układanie się doświadczeń, badań, spotkań i praktyki. Jeździliśmy do Łomży, Suwałk, Ełku. Szukaliśmy uczniów zdolnych, organizowaliśmy dla nich zajęcia oraz obozy i zgrupowania. Przez pewien czas funkcjonowało seminarium „Twórczość uczniowska”. Wokół tej problematyki zaczął tworzyć się pewien ruch. Trzeba pamiętać, że wtedy nie było jeszcze bogatej literatury na ten temat. Kiedy zaczynaliśmy, właściwie była jedna ważna książka dotycząca uczniów zdolnych – książka Ireny Borzym *Uczniowie zdolni*. Nauczycielom często nawet nie przychodziło na myśl, że uczniem zdolnym trzeba się szczególnie zajmować. Panowało przekonanie, że skoro dziecko dobrze sobie radzi, to poradzi sobie samo.

Pamiętam z własnego doświadczenia edukacyjnego, że zdolność była w szkole raczej wykorzystywana niż rozwijana. Jeśli uczeń dobrze czytał, sadzano go obok słabiej czytającego, albo proszono, żeby pomagał młodszemu. Jeśli szybko kończył zadanie, dostawał kolejne, często przypadkowe.

Takie lub podobne praktyki funkcjonują nadal i nie chodzi o ich wyeliminowanie. Trzeba jednak wiedzieć, że nie są one tożsame z pracą nad rozwijaniem zdolności. To jest tylko zagospodarowanie ucznia, który szybciej sobie radzi, żeby się nie nudził i nie przeszkadzał. Dziecko zdolne potrzebuje także przemyślanego ukształtowania warunków, wsparcia, uważności i mądrego prowadzenia.

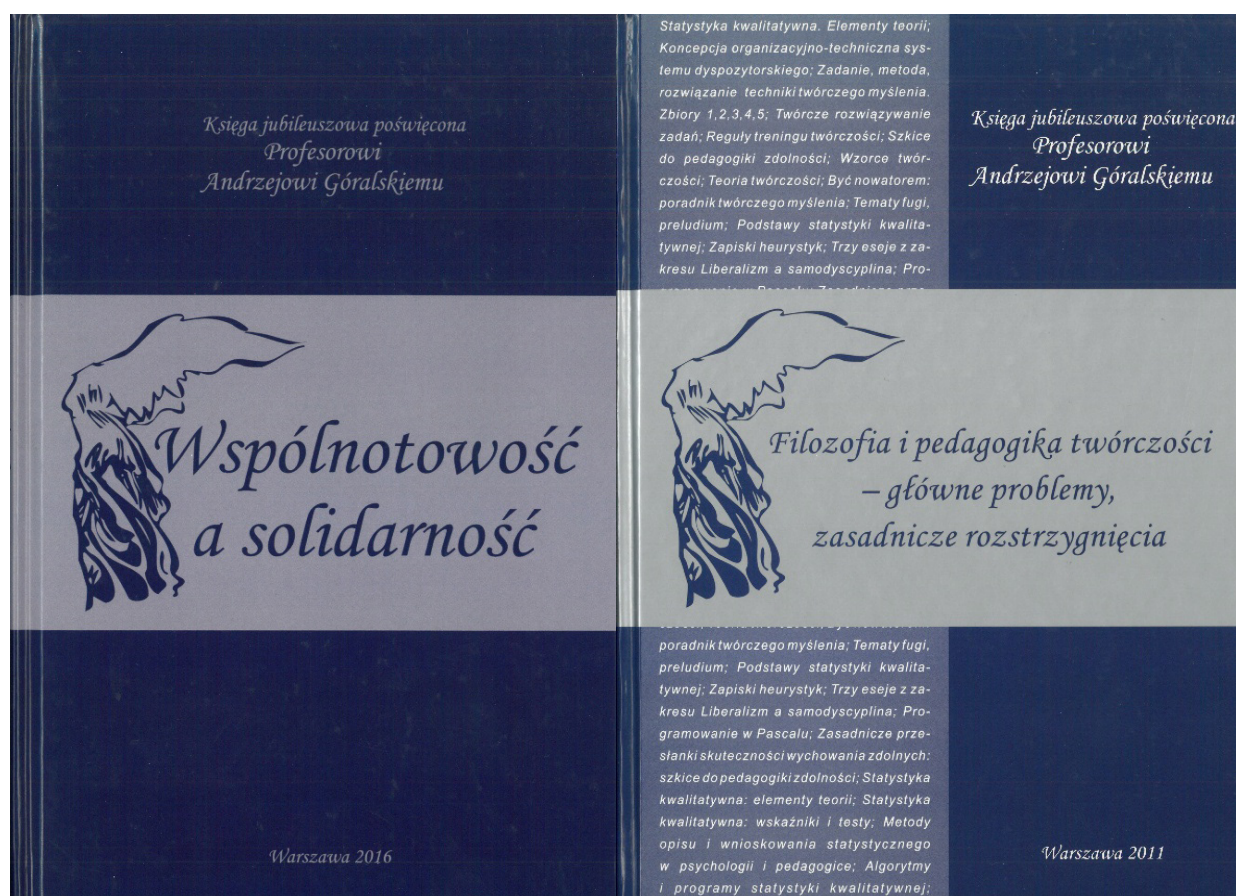
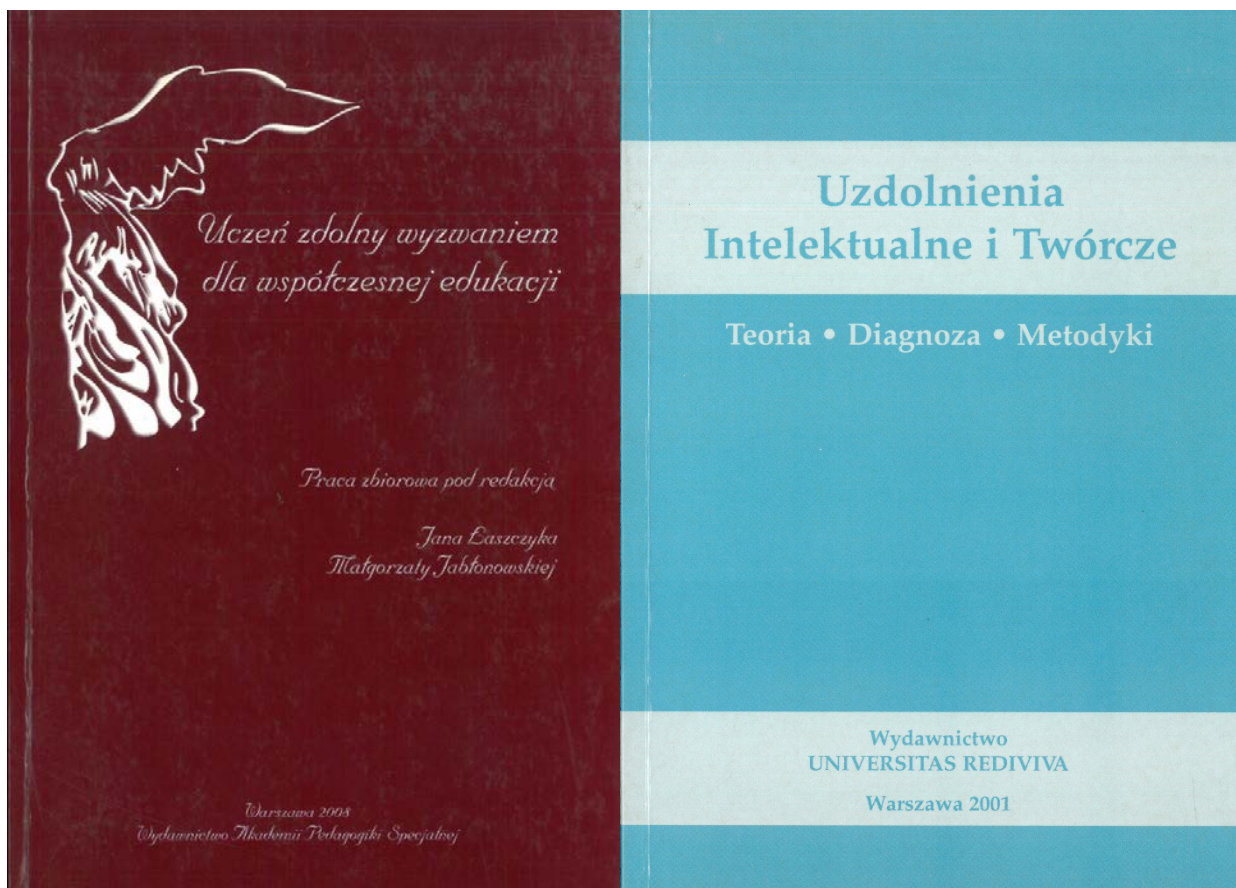
Co było potrzebne, żeby refleksja nad uczniem zdolnym przekroczyła poziom teorii i stała się realnym elementem praktyki szkolnej?

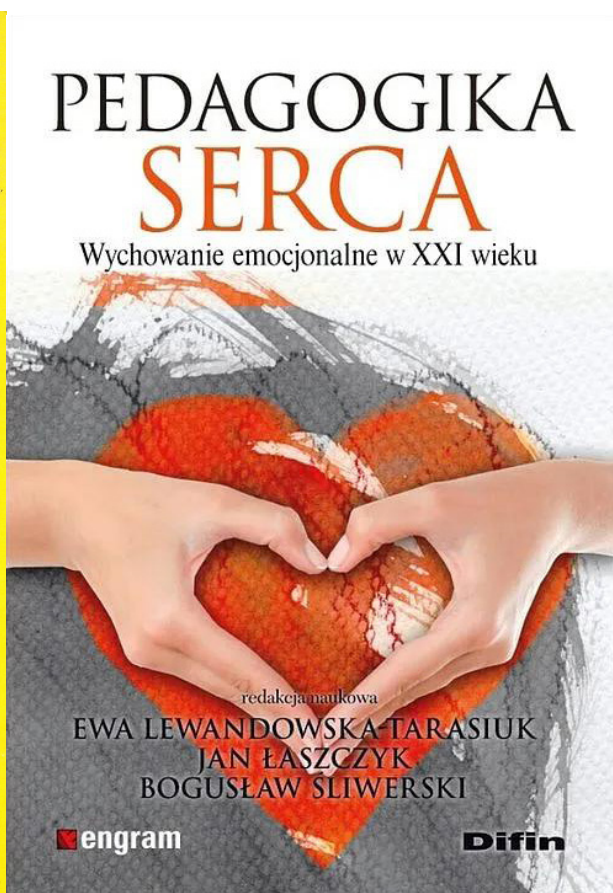
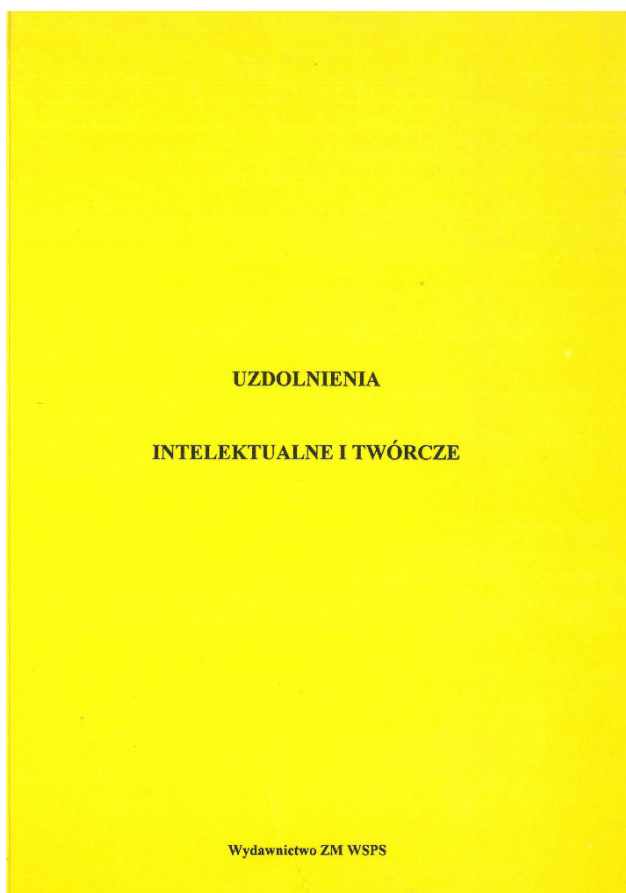
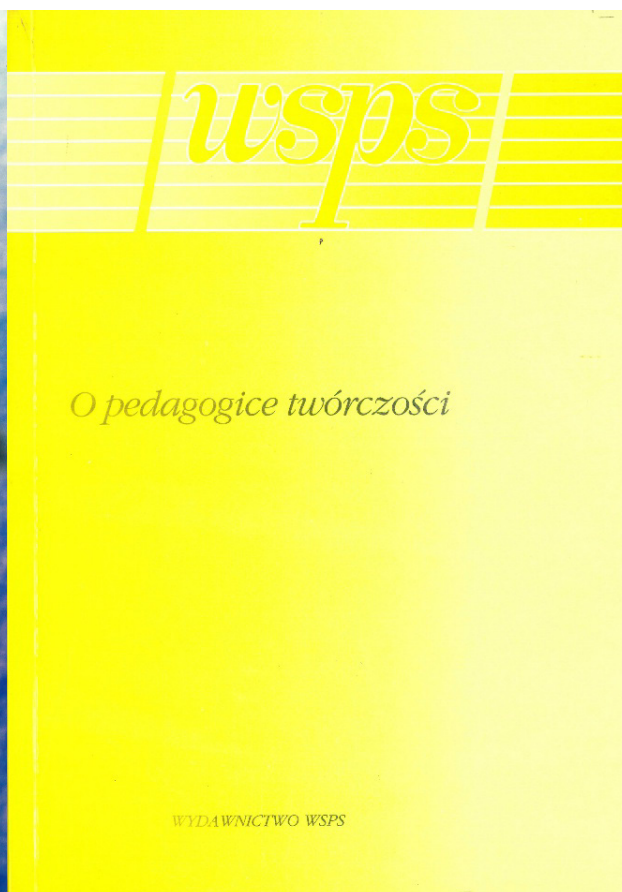
Przede wszystkim trzeba było przełamać przekonanie, że zdolny uczeń poradzi sobie sam. Zdolność wymaga troski, choć innej niż deficyt. Wymaga przestrzeni, trudniejszych zadań, rozmowy, możliwości wyboru, kontaktu z innymi, którzy także chcą czegoś więcej. Ukształtowanie i upowszechnienie takich przekonań nie było jednak proste. Pamiętam, że kiedy chcieliśmy zorganizować spotkanie dla nauczycieli dotyczące pracy z uczniami zdolnymi, wysłaliśmy formalne zaproszenia do szkół. Liczyliśmy, że

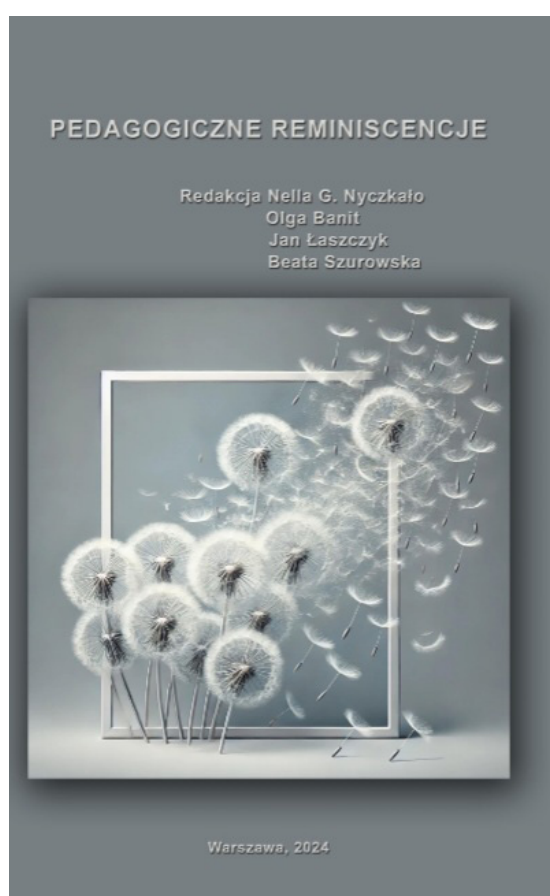
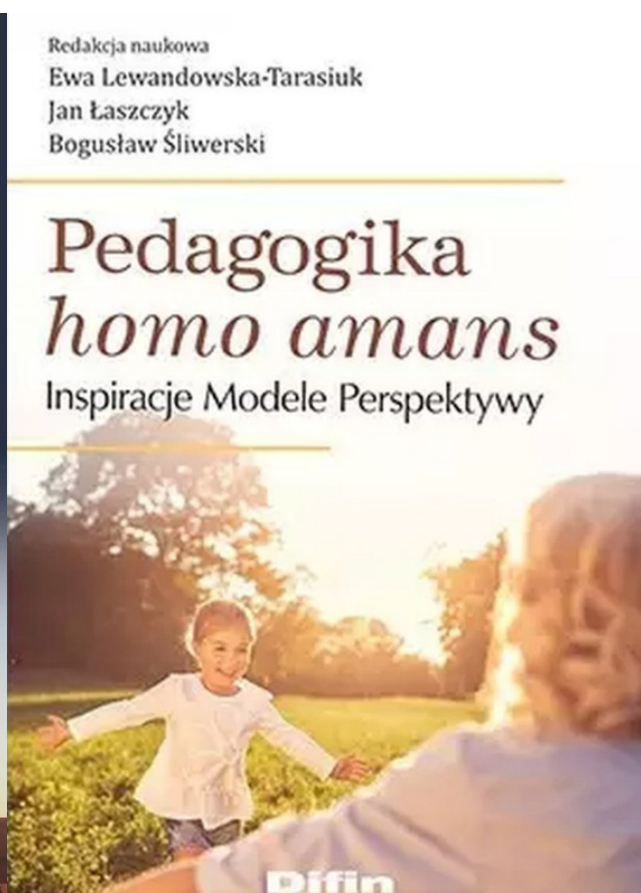
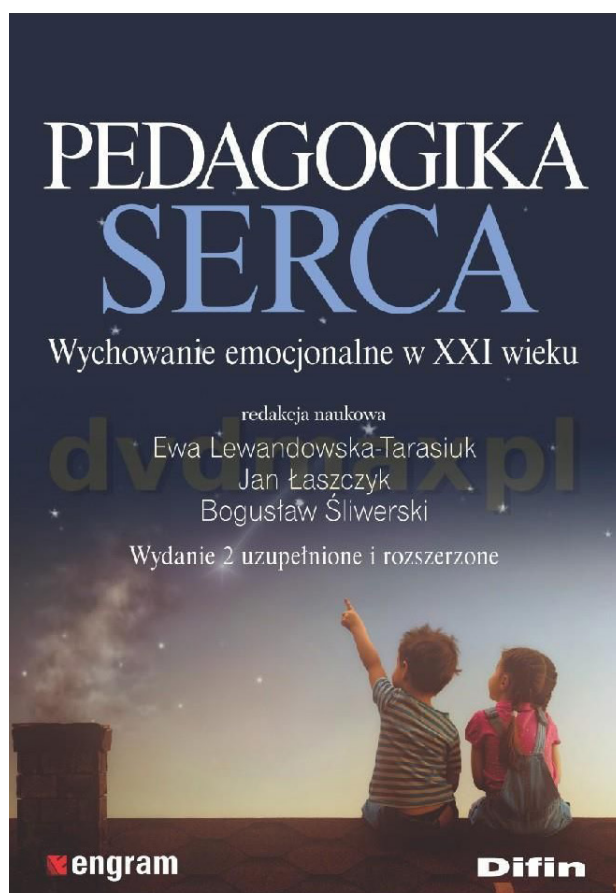
przyjdą nauczyciele, z którymi będzie można porozmawiać o tej problematyce. Przyszedłem na umówione miejsce, czekałem pół godziny i pojawiła się jedna osoba, w dodatku niespecjalnie zainteresowana, bo przysłała ją w zastępstwie. Na tym się wtedy skończyło. A jednak z czasem ta idea zaczęła się zakorzeniać. Powstawały studia podyplomowe, specjalności, spotkania, konferencje, zespoły, cała praktyka skupiona wokół ucznia zdolnego. Ważne jest, aby nie zatrzymywać się na publikacjach i koncepcjach. Trzeba pytać, czy idea obrośla praktyką. W przypadku pracy z uczniem zdolnym to się w pewnej mierze naprawdę udało. Dzisiaj właściwie trudno znaleźć konferencję pedagogiczną, na której nie byłoby sekcji poświęconej zdolnościom, twórczości albo rozwojowi potencjału ucznia. Ta idea weszła do praktyki mocniej niż wiele innych koncepcji pedagogicznych.

Z dorobku naukowego – wybór publikacji pod redakcją lub współredakcją Profesora Jana Łaszczyka









Panie Profesorze, zajmował się Pan technologiami informacyjnymi w edukacji bardzo wcześnie, jeszcze wtedy, gdy komputer nie był oczywistym narzędziem pracy nauczyciela czy studenta. Mogłoby się wydawać, że wynikało to z fascynacji nowoczesnością, ale z Pana wypowiedzi wyłania się raczej ostrożne, praktyczne i pedagogiczne spojrzenie na technologię. Jak Pan Profesor patrzy dziś na nowe technologie, także w kontekście sztucznej inteligencji?

Rzeczywiście, mogłoby się wydawać, że w części przedsięwzięć, w których uczestniczyłem, było coś z fascynacji techniką, ale ja chyba nigdy nie traktowałem technologii w taki sposób. Interesowało mnie raczej to, czy może ona stać się użytecznym narzędziem w edukacji, czy może pomóc w organizowaniu pracy, w uczeniu się, w tworzeniu nowych możliwości. Sama technologia nigdy nie była dla mnie wartością autonomiczną. Zresztą mój własny stosunek do komputera długo był dość ostrożny. Przez długi czas traktowałem go właściwie jak sprawniejszą maszynę do pisania. Najpierw pisałem tekst ołówkiem albo długopisem na papierze, a dopiero później przepisywałem go na komputerze. Komputer ułatwiał poprawianie, przenoszenie fragmentów, porządkowanie tekstu, ale samo myślenie zaczynało się u mnie przy kartce papieru.

Rozumiem to bardzo dobrze, Panie Profesorze. Mam podobne doświadczenie z pisanem wierszy. Trudno mi sobie wyobrazić, żebym od razu pisała je na komputerze. Potrzebuję kartki, czegoś w rękę, tego pierwszego, bardziej osobistego zapisu.

To może być kwestia pokoleniowa. Być może dzieci, które wcześniej niż z zeszytu zaczęły korzystać z klawiatury, będą także w taki sposób pisać teksty najbardziej osobiste, nawet wiersze. Dla nich ekran nie musi być czymś zewnętrznym wobec procesu twórczego. Dla mojego pokolenia często jest inaczej, bo pierwsze doświadczenie pisania, myślenia i poprawiania tekstu było związane z kartką, z ołówkiem, z ruchem ręki. To zostaje w człowieku. Dlatego nie przeciwstawiałbym prosto technologii i człowieka. Technologia jest narzędziem. Może być bardzo dobrym narzędziem, jeśli używa jej człowiek, który ma własną inteligencję i potrafi z niej mądrze korzystać. Dotyczy to także sztucznej inteligencji. Dla mnie ona nie jest czymś, co zastępuje człowieka. Jest środkiem, który może pomóc, ale w rękach kogoś, kto rozumie, co robi. Jednocześnie trzeba widzieć zagrożenia. Im więcej technologii wprowadzamy do codziennego życia, tym więcej pojawia się możliwości nieautentyczności, oszustwa i przekraczania pewnych barier etycznych. Plagiaty stały się łatwiejsze wtedy, kiedy łatwiej było kopiować. Podobnie jest ze sztuczną inteligencją. Użyta rozsądnie może być znakomitą pomocą, ale użyta bezmyślnie może osłabiać odpowiedzialność i samodzielność.

Czy współczesny rozwój technologii zmienia sposób myślenia o człowieku i jego możliwościach?

Na pewno zmienia sposób funkcjonowania człowieka. Widać to choćby w sposobie korzystania z pamięci. Kiedyś pamiętaliśmy numery telefonów kolegów, bo musieliśmy je pamiętać. Dzisiaj telefon wyświetla imię i nie trzeba znać numeru. Ale nie sądzę, żeby to automatycznie oznaczało degenerację funkcji poznawczych. Raczej inne funkcje są trenowane, inne struktury są uruchamiane, inaczej przebiega praca mózgu. Nie należy więc

bać się technologii jako takiej. Trzeba raczej pytać, co ona wzmacnia, co osłabia, jakie kompetencje rozwija, a jakie czyni mniej niezbędnymi. Ważne jest jednak, aby nie ograniczać człowieka do jednego systemu bodźców. Zwłaszcza w przypadku dzieci trzeba zachować umiar. Nie można udawać, że komputerów i telefonów nie ma, bo to jest świat, w którym dzieci będą żyły. Trzeba je uczyć mądrego korzystania. Ale jeśli całe doświadczenie dziecka zostanie sprowadzone do ekranu, zrobimy mu krzywdę.

Zgadzam się, Panie Profesorze. Z moich doświadczeń wynika, że dzieci bardzo często bez wahania odejdą od komputera, jeśli rodzic zaproponuje im atrakcyjną formę wspólnego spędzenia czasu. One bardzo potrzebują bliskości, obecności dorosłego i tego, co można nazwać wspólnym „flow” w zabawie. Czasem problemem nie jest więc sama technologia, lecz to, że ekran zaczyna zastępować relację.

Z pewnością. W przypadku małych dzieci kluczowy jest umiar i świadomość rozwojowa. Narzędzia cyfrowe mogą stymulować pewne funkcje, ale nie mogą zastępować relacji, ruchu, zabawy, kontaktu z bliskimi i doświadczenia świata realnego. Trzeba też szczególnie uważać na kontakt małego dziecka ze światem wirtualnym.



Prof. Jan Łaszczyk z uczestnikami Międzynarodowego Konkursu Programistycznego BALTIE 2023 w Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej. Warszawa, 2023 r. Fot. archiwum APS.

Tak, bo to jest jednak inny rodzaj funkcjonowania w nierealnym świecie niż w przypadku literatury. Kiedy dziecko słucha bajki albo opowiadania, uruchamia wyobraźnię, ale jednak pozostaje w świecie przedstawionym, który jest od niego oddzielony. W grach komputerowych bywa inaczej. Dziecko może działać w fikcyjnym świecie przez postać, może mieć poczucie sprawczości, może widzieć siebie jako kogoś, kto lata, zwycięża, ma nadzwyczajne możliwości. W przypadku małego dziecka granica między fikcją a rzeczywistością nie jest jeszcze tak mocna, dlatego trzeba zachować dużą ostrożność.

I to jest właśnie zadanie dorosłych. Nie chodzi o demonizowanie technologii. Chodzi o znajomość choćby podstaw psychologii rozwojowej oraz stosowanie się do ustaleń tej dyscypliny naukowej. Dziecko trzeba przygotować do świata, w którym technologia istnieje, ale nie wolno go w tym świecie zostawić samego. Nadużywanie czegokolwiek jest niekorzystne. Technologia może być narzędziem, ale trzeba nauczyć, jak z niego korzystać; nie powinna też zastępować aktywności naturalnej, wykonywania operacji i działań materialnych, zabawy, kontaktów społecznych i autentycznych zachowań.



Prof. Jan Łaszczyk z prof. Jerzym Buzkiem podczas uroczystej konferencji podsumowującej konkurs „Debiut naukowy 2011 – Zrównoważony rozwój” w APS. Fot. archiwum APS.

Kiedy słucham Pana Profesora, mam wrażenie, że wszystkie te obszary – kształcenie problemowe, twórczość, uczeń zdolny, technologie – łączy jedno zasadnicze pytanie: jak tworzyć warunki, w których człowiek może rozwijać swój indywidualny potencjał. Ale obok działalności naukowej bardzo ważna była w Pana życiu także odpowiedzialność organizacyjna za Akademię. Przez lata pełnił Pan wiele funkcji: był Pan prodziekanem do spraw studenckich, później do spraw dydaktyki, kierownikiem pracowni i zakładów, dziekanem, pełnomocnikiem rektora, rzecznikiem dyscyplinarnym studentów, prorektorem, a potem rektorem Akademii przez dwie kadencje. To właściwie cała droga coraz głębszego uczestnictwa w życiu uczelni – od spraw najbliższych studentom po decyzje dotyczące całej wspólnoty akademickiej. Jak Pan Profesor wspomina okres tej szczególnej, najwyższej odpowiedzialności za Akademię?

To był czas, któremu towarzyszyło przeżycie niecodziennej odpowiedzialności. Pełnienie takiej funkcji oznacza konieczność podejmowania decyzji, także niepopularnych. Człowiek ma wtedy wokół ludzi życzliwych, przyjaciół, współpracowników, ale pojawiają się także przeciwnicy. Nie nazywałbym ich wrogami, raczej przeciwnikami. Kiedy kieruje się instytucją, nie da się uniknąć napięć. Nie wszyscy będą zadowoleni, nie każdy zaakceptuje decyzje, nawet jeśli wynikają one z troski o dobro uczelni. Tak więc wspomnienia są

zróżnicowane, jednak z wyraźną przewagą tych o zabarwieniu pozytywnym. Moje wspomnienia z okresu, o który Pani pyta mają dwojaki charakter: z jednej strony pamięć przywołuje sytuacje bądź zdarzenia jednostkowe, jak gdyby wyizolowane z całości, z drugiej zaś istnieje coś na kształt przeżycia całości, bez odwoływania się do pojedynczych faktów i zdarzeń. Pozostaje też jakaś część wspomnień związanych z zamierzeniami niespełnionymi, co nie znaczy nieudanymi.



Prof. Jan Łaszczuk podczas uroczystości nadania prof. Szewachowi Weissowi tytułu doktora honoris causa Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej. Święto Uczelni APS – posiedzenie Senatu, Warszawa, 2012 r. Fot. archiwum APS.

Co było dla Pana Profesora szczególnie ważne w kierowaniu uczelnią?

Ważna była wspólnota. Cieszyło mnie, kiedy ludzie z zewnątrz, którzy przyjeżdżali do naszej uczelni, mówili, że tutaj jest inaczej niż w innych miejscach. Że ludzie sobie pomagają, że uśmiechają się do siebie, że nawet na korytarzach czuć dobrą atmosferę wzajemnego wsparcia. Słyszałem takie opinie wiele razy. Kiedy ktoś pytał, co ja takiego robię, jak to robię, że tak właśnie jest, odpowiadałem, że to nie ja robię, że to się samo robi w APS. I rzeczywiście – trudno powiedzieć, jak to się działo. Może wystarczyło nie przeszkadzać?

Potwierdzam to, Panie Profesorze. Często słyszę od osób z innych ośrodków, że lubią przyjeżdżać do APS, bo jest tu życzliwiej, spokojniej, bardziej po ludzku niż w innych ośrodkach naukowych. I sama tego doświadczam: w windzie, na korytarzach, w codziennych drobnych gestach. I myślę, że ogromny wpływ na taki klimat Akademii ma właśnie mądre, serdeczne przywództwo – takie, które opiera się na życzliwości i tworzeniu przestrzeni prawdziwego spotkania. Dzięki temu uczelnia, choć musi funkcjonować w świecie procedur, regulaminów i obowiązków, nie traci swojego najważniejszego wymiaru: pozostaje wspólnotą osób, które potrafią się widzieć, rozmawiać ze sobą i chronić wzajemne relacje. Myślę, że Maria Grzegorzewska, która tak bardzo ceniła wrażliwość i uważność na człowieka, byłaby z Pana Profesora dumna.

Tego nie sprawdzimy, ale jeśli byłaby ze mnie zadowolona, to byłbym bardzo szczęśliwy, bo to postać, którą niezwykle cenię. Bardzo nie chciałem zepsuć tego, co było dla niej najcenniejsze, kiedy tworzyła tę szkołę. Oczywiście wiem, jaki jestem. Niektórzy mówili, że ludzie się mnie boją. Być może tak jest, bo bywam stanowczy, szczególnie w sprawach zasadniczych.

Pozwolę sobie „uśmiechnąć się” przy tym „szczególnie w sprawach zasadniczych”, bo pamiętam sytuację, która pokazuje, że dla Pana Profesora sprawami zasadniczymi były także te najprostsze, ludzkie. Kiedy dzieci z przedszkola przyjechały zwiedzać uczelnię, potraktował je Pan Profesor jak wyjątkowych gości. Oprowadzał je Pan po Akademii, pokazywał uczelnię, togę, insygnia rektorskie, a dzieci z ogromnym zaciekawieniem wszystkiego dotyczyły i o wszystko pytały. Potem jadły obiad przygotowany w naszej stołówce studenckiej. Zupę jadły niezbyt chętnie. Pan Profesor spróbował jej i BARDZO stanowczo zareagował, bo była niesmaczna, kwaśna. Ludzie tę reakcję odebrali bardzo pozytywnie i zapamiętali, bo to także był wyraz troski: o gości, o dzieci, o jakość, o szacunek dla tych, którzy przyszli do Akademii.

To rzeczywiście nie była sprawa wielkiej rangi, ale takie codzienne sytuacje bardzo dużo mówią o instytucji. Jeśli zapraszamy do Akademii dzieci, studentów, gości, osoby z innych środowisk, to jesteśmy gospodarzami i odpowiadamy nie tylko za program spotkania, lecz także za to, czy człowiek czuje się dobrze przyjęty. W przypadku dzieci jest to dla mnie oczywiste: dzieci trzeba traktować z troską i szacunkiem, bo są naszym skarbem. Jeżeli więc dostały zupę, która była niesmaczna, kwaśna, niedobra, to nie mogłem uznać, że to drobiazg. Podobnie było w innych sytuacjach. Pamiętam spotkanie kapituły rankingu liceów, kiedy zaproszonym gościom podano zimny żurek. Wtedy również zareagowałem stanowczo. Dla mnie to była część myślenia o uczelni, po gospodarsku. Ważne

są wielkie sprawy: rozwój naukowy, konferencje, współpraca międzynarodowa, publikacje, ale ważne są też drzwi, które powinny otwierać się tak, żeby student na wózku nie musiał czekać na pomoc. Ważne jest miejsce, w którym studenci mogą zjeść obiad między zajęciami, bo ich plan dnia często nie daje im innej możliwości. Ważne jest także to, gdzie przyjmujemy i czym częstujemy gości. To może wydawać się sprawą bardzo zwykłą, ale uczelnia składa się również z takich zwyczajnych spraw. One tworzą klimat miejsca i pokazują, czy naprawdę widzimy i reagujemy na potrzeby człowieka. Przy tym wszystkim jest we mnie także pewna gospodarska oszczędność. Nie lubię, kiedy pieniądze – zwłaszcza nie własne, lecz publiczne, uczelniane – wydaje się bez należytej rozważy. Zdarzało się, że sam sprawdzałem różne rozwiązania, porównywałem koszty i szukałem innych możliwości. I często okazywało się, że można znaleźć rozwiązanie znacznie tańsze, a jednocześnie dobre i funkcjonalne. Bo taniej nie zawsze znaczy gorzej.



Prof. Jan Łaszczyk podczas spotkania z dziećmi w Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w ramach projektu „Akademia Pedagogiki Specjalnej Uczelnią Młodego Odkrywcy”. Warszawa, 2018 r. Fot. archiwum APS.



Prof. Jan Łaszczyk podczas przeglądu artystycznego OSPAR 2012 – Ogólnopolskiej Sceny Prezentacji Artystycznych Realizacji. APS, Warszawa, 2012 r. Fot. archiwum APS.



Prof. Jan Łaszczyk z uczestnikami II Ogólnopolskiej Olimpiady Wiedzy dla Młodzieży z Niepełnosprawnością. APS, Warszawa, 2015 r. Fot. archiwum APS.

I myślę, że właśnie dlatego tak wiele osób przyszło na Pana Jubileusz. Oprócz dokonań oczywistych, wielkich i bardzo znaczących dla Akademii, ludzie pamiętają także takie sytuacje. Pamiętają rektora, który nie tylko kierował uczelnią, lecz także troszczył się o ludzi – zarówno wtedy, gdy chodziło o sprawy zasadnicze, jak i wtedy, gdy znaczenie miały gesty najprostsze, codzienne, a przecież często najwięcej mówiące o człowieku.

Kiedy dziś myślę o tym, jak pełniłem funkcję rektora, to nie jestem w stanie wszystkiego dokładnie ocenić. Wiem jednak, że kierowała mną głęboka potrzeba, żeby tego nie zepsuć, żeby nie zmarnować tego, co zostało mi powierzone. To było pierwsze i bardzo silne. Po drugie, byłem przekonany, że najważniejsza jest uczelnia. Nie mój interes, nie moja wygoda, nie to, czy się wyśpię, odpocznę, będę miał mniej czy więcej pracy. Najważniejsza

była szkoła, uczelnia jako dobro wspólne. Temu podporządkowywałem aktywność, wybory zawodowe i osobiste. Zapłaciłem za to również zdrowiem. Odkładałem pewne sprawy, zamiast w odpowiednim czasie zająć się sobą. Tak też bywa z odpowiedzialnością, kiedy człowiek nie zawsze umie postawić granicę między troską o instytucję a troską o siebie. Wiem, że jako rektor starałem się raczej nie tyle wymuszać, ile tworzyć możliwości. Chciałem inspirować do rozwoju i dbać o zespół. Może nie zawsze byłem łatwy, ale zależało mi na tym, żeby ludzie mieli przestrzeń do działania. Wspólnota nie oznacza braku różnic. Te różnice są naturalne i potrzebne. Ważne jednak, żeby mimo różnic ludzie potrafili pracować dla czegoś ważniejszego niż własna ambicja.



Prof. Jan Łaszczyk z uczestniczką Ogólnopolskiej Olimpiady Wiedzy dla Młodzieży z Niepełnosprawnością. APS, Warszawa, 2014 r. Fot. archiwum APS.



Prof. Jan Łaszczyk i prof. Janusz Gęsicki podczas wręczenia dyplomu doktorskiego Jackowi Gralewskiemu, obecnie dr. hab., prof. APS i prorektorowi ds. nauki. Święto Uczelni APS, Warszawa, 2011 r. Fot. archiwum APS.

W księdze jubileuszowej wiele osób zwraca uwagę na Pana szczególne poczucie humoru. Profesor Marcin Pałys pisze o „wspaniałym poczuciu humoru”, które łączyło się w Pana wystąpieniach z rozsądnym, pragmatycznym myśleniem. Profesor Jan Szmidt wspomina „konkretność i lapidarność” Pana wypowiedzi, „lekkość dowcipnych dygresji” oraz „łatwość wzbudzania sympatii”. Z kolei profesor Urszula Jeruszka pokazuje poczucie humoru jako dopełnienie powagi, które „ujawnia umiejętność dostrzegania pozytywnych aspektów w trudnych sytuacjach, radzenia sobie ze stresem i budowania więzi z innymi ludźmi”. Ja także od pierwszego spotkania z Panem Profesorem byłem pod ogromnym wrażeniem Pana poczucia humoru. To humor błyskotliwy, precyzyjny, bardzo inteligentny, czasem zaskakujący – świadczący o niezwyklej zdolności natychmiastowego uchwycenia sedna sytuacji i zamknięcia go w jednej trafnej, dowcipnej puencie. Czy humor pomagał Panu Profesorowi w pracy z ludźmi?

Myślę, że humor pomaga w relacjach, choć oczywiście trzeba z nim uważać. Nie może ranić. Może natomiast skrócić dystans, osłabić napięcie, czasem otworzyć możliwość dalszej rozmowy. W pracy akademickiej, zwłaszcza kiedy pełni się funkcje kierownicze, takich momentów jest wiele. Czasem jedno zdanie, pewien dystans do siebie i do sytuacji, pozwala ludziom wrócić do tego, co naprawdę ważne.

Czy odpowiedzialność za uczelnię zmieniła Pana sposób patrzenia na ludzi?

Myślę, że taka odpowiedzialność uczy, że człowiek jest złożony. Można kogoś bardzo cenić i jednocześnie się z nim nie zgadzać. Można kogoś cenić, czuć wdzięczność, sympatię, ale nie przyjmować bezkrytycznie wszystkiego, co ta osoba proponuje. Ludzie mają wady i zalety, mają swoje słabości, czasem trudny charakter, ale nie należy ich przez to przekreślać. Trudne doświadczenia uczą także pokory wobec siebie. Nie wszystko da się dobrze rozwiązać. Nie zawsze człowiek zachowa się idealnie. Ale ważne jest, żeby nie tracić podstawowej uczciwości intencji i żeby w decyzjach nie kierować się wyłącznie sobą. Myślę, że w tych trudnych czasem momentach zarządzania Akademią siłę dawało mi poczucie sensu mojej pracy i wysiłku oraz rodzina i te małe, ale ważne znaki życzliwości, które wracały od studentów, pracowników, gości Akademii. Ważne było też przekonanie, że pracuję dla czegoś większego niż własne powodzenie i własny sukces.

Świadectwa zamieszczone w Księdze jubileuszowej Profesorowi Janowi Łaszczykowi przyjaciele, współpracownicy, uczniowie pokazują, jak głęboko zapisał się Pan Profesor w historii Akademii i w pamięci osób, które z Panem współpracowały. Nie są to jedynie oficjalne gratulacje. Wybrzmiewa w nich uznanie dla dorobku naukowego, ale także dla sposobu, w jaki Pan kierował, wyznaczając kierunek rozwoju Akademii: z poczuciem misji, troską o ludzi, budowaniem wspólnoty i wiernością wartościom humanistycznym.

„Obchodząc Pański Jubileusz, oddajemy hołd nie tylko imponującemu dorobkowi naukowemu, lecz także wartościom, które Pan Profesor wniósł do naszej Akademii: kulturze wzajemnego szacunku, dialogu i nieustannego poszukiwania nowych dróg w edukacji. To dzięki Pana inspiracji studenci zyskują odwagę do twórczego myślenia, młodzi badacze otrzymują mądre wsparcie, a cała społeczność utwierdza się w przekonaniu, że edukacja jest sztuką rozwijania możliwości, a nie jedynie przekazywania wiedzy. [...] Dzięki strategicznej wizji i umiejętnemu łączeniu tradycji z nowoczesnością, Akademia stała się miejscem otwartym na innowacje, współpracę międzynarodową i interdyscyplinarne podejście do edukacji – a zarazem pozostała wierna wartościom humanistycznym, które od zawsze stanowią fundament jej tożsamości”.

Wspólnota APS

dr hab. Barbara Marcinkowska, prof. APS, Rektor APS

(Profesorowi Janowi Łaszczykowi przyjaciele, współpracownicy, uczniowie, s. 103–104)

„Dużo się od Ciebie nauczyłem – byłeś i nadal jesteś bardzo zaangażowany w funkcjonowanie naszej Uczelni. Jestem Ci wdzięczny, że dzieliłeś się ze mną swoim doświadczeniem zdobytym podczas sprawowania funkcji dziekana, prorektora i przez dwie kadencje rektora. Przejmując tę ostatnią funkcję po Tobie zawsze mogłem liczyć na Twoje wsparcie i życzliwość. [...] Jestem wdzięczny losowi, że spotkałem Ciebie na mojej drodze, że dane mi było czerpać z Twojego doświadczenia i mądrości życiowej. Twój stosunek do naszej Uczelni, będący wyrazem identyfikacji z nią, jest dla mnie wzorem do naśladowania”.

prof. dr hab. Stefan M. Kwiatkowski

Przewodniczący Komitetu Nauk Pedagogicznych PAN w latach 2007–2011,

Rektor Akademii Pedagogiki Specjalnej w latach 2016–2020

(Profesorowi Janowi Łaszczykowi przyjaciele, współpracownicy, uczniowie, s. 33–34)

„W tej Uczelni zyskałeś od początku akceptację i uznanie środowiska akademickiego, co skutkowało wyborami Ciebie na kolejne stanowiska: prodziekana, dziekana, prorektora i rektora. Te wybory świadczą nie tylko o uznaniu Twoich akademickich kompetencji, lecz także o posiadaniu przez Ciebie szczególnych cech osobowości umożliwiających współpracę z tak zróżnicowanym i specyficznym zespołem osób, jakimi są pracownicy akademicy. Zyskanie uznania swego środowiska zawodowego na przestrzeni tak długiego czasu jest osiągnięciem wyjątkowym, o wartości nie do przecenienia”.

dr hab. Franciszek Szlosek, prof. APS

Przewodniczący Pedagogicznego Towarzystwa Naukowego „Polska–Ukraina”,

Wiceprzewodniczący Zespołu Pedagogiki Pracy przy Komitecie Nauk

Pedagogicznych PAN od 2014 roku,

pierwszy i wieloletni Dyrektor Instytutu Pedagogiki APS.

(Profesorowi Janowi Łaszczykowi przyjaciele, współpracownicy, uczniowie, s. 67–68)

„Ten dzień to nie tylko granica czasu, ale przede wszystkim świadectwo wybitnej drogi życia, naznaczonej pracą na rzecz nauki, edukacji i, co najważniejsze, Człowieka. Przez pół wieku z godnością łączy Pan Profesor rolę pedagoga, naukowca, mentora i duchowego przewodnika dla wielu pokoleń studentów, współpracowników i badaczy. [...] Jako Rektor Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej (2008–2016 r.), nie tylko umocnił Pan autorytet tej znakomitej uczelni, ale otworzył dla niej nowe perspektywy. [...] Ze szczególną wdzięcznością wspominamy Pana wieloletnią i szczerą współpracę z Ukrainą, [...]. Stał się Pan mostem zaufania i wzajemnego zrozumienia między naszymi środowiskami edukacyjnymi. Dzięki Pana otwartości, profesjonalizmowi i humanizmowi, polsko-ukraińska/ ukraińsko-polska współpraca akademicka nabrała głębi, treści i stała się prawdziwym symbolem jedności w trudnych czasach”.

Prof. dr hab. Larysa Łukianowa
członek rzeczywisty Narodowej Akademii Nauk Pedagogicznych Ukrainy,
Dyrektor Instytutu Oświaty Pedagogicznej i Edukacji Dorosłych imienia Iwana
Zjaziuna NAPN Ukrainy
(Profesorowi Janowi Łaszczykowi przyjaciele, współpracownicy, uczniowie, s. 35)



Prof. Jan Łaszczyk z prof. Nellą Nyczkało i prof. Larysą Łukianową podczas Świąta Uczelni APS. Warszawa, 2023 r. Fot. archiwum APS.

W czasie, gdy pełnił Pan funkcję rektora, Akademia coraz mocniej otwierała się na współpracę międzynarodową – był Pan także Prezydentem Międzynarodowego Stowarzyszenia Rektorów Uniwersytetów Pedagogicznych Europy, a później jego

Honorowym Przewodniczącym. Jednak szczególne miejsce w tej międzynarodowej aktywności zajmowała współpraca polsko-ukraińska. Potwierdzają to także przyznane Panu Profesorowi wyróżnienia: doktorat honoris causa Narodowego Uniwersytetu Pedagogicznego im. M. Dragomanowa w Kijowie, członkostwo zagraniczne w Narodowej Akademii Nauk Pedagogicznych Ukrainy oraz Srebrny Medal Narodowej Akademii Nauk Pedagogicznych Ukrainy. Dlaczego właśnie Ukraina stała się tak ważnym partnerem Akademii? Jak zaczęła się ta współpraca i co sprawiło, że z czasem stała się czymś więcej niż tylko relacją instytucjonalną?

Ta współpraca zaczęła się znacznie wcześniej, niż mogłoby się wydawać – właściwie jeszcze pod koniec lat siedemdziesiątych. Przyjechali wtedy do nas uczniowie związani z Małą Akademią Nauk we Lwowie. Ten przyjazd przygotowywał profesor Andrzej Góralski, a ja także uczestniczyłem w opiece nad tą grupą. Później kontakty zaczęły się rozwijać właśnie wokół środowiska lwowskiego: Małej Akademii Nauk, instytucji związanych z doskonaleniem nauczycieli oraz Uniwersytetu Lwowskiego. Z czasem ta współpraca nabrała trwałości i stawiała się coraz bardziej sformalizowana. Były konferencje, wspólne wyjazdy, przyjazdy naszych partnerów do Polski, wydawnictwa pokonferencyjne, rozdziały w monografiach. Później, między innymi dzięki kontaktom profesora Franciszka Szloska i jego zakorzenieniu w środowisku Ukraińskiej Akademii Nauk Pedagogicznych, współpraca ta naturalnie poszerzyła się także o ten krąg akademicki. Bardzo ważne stały się również relacje z Narodowym Uniwersytetem Pedagogicznym im. M. Dragomanowa w Kijowie. Myślę, że Ukraina stała się tak ważnym partnerem nie dlatego, że ktoś to odgórnie zaplanował jako strategiczny kierunek, ale dlatego, że od początku były tam konkretne spotkania ludzi. Najpierw były rozmowy, wspólna praca, wzajemna ciekawość i zaufanie, a dopiero potem instytucjonalne formy współpracy. Dlatego ta relacja mogła trwać tak długo i stać się czymś więcej niż tylko wymianą akademicką.



Prof. Wasyl G. Kremień wręcza Srebrny Medal Narodowej Akademii Nauk Pedagogicznych Ukrainy prof. Janowi Łaszczykowi. APS, Warszawa, 2023 r. Obok prof. Franciszek Szlosek, również odznaczony medalem NANP Ukrainy. Fot. archiwum APS.

Współpraca polsko-ukraińska miała od początku szczególny, bardzo ludzki wymiar. Nie była tylko współpracą uczelni i instytucji, ale także spotkaniem ludzi – opartym na życzliwości, zaufaniu i wzajemnym szacunku. Ten wymiar tak mocno podkreślała zawsze Profesor Nella Nyczkało. Szczególne znaczenie tych więzi widać w czasie wojny, kiedy mimo trudnych okoliczności możliwe jest nie tylko podtrzymywanie współpracy, ale przede wszystkim realne wspieranie ludzi, którzy tego potrzebują. Wielokrotnie widziałam, z jaką szczerością, troską i konsekwencją Pan Profesor angażował się w tę pomoc. Co w tych relacjach właśnie teraz, w czasie trwającej wojny, okazuje się najważniejsze?

Ma Pani rację, że ta współpraca od początku miała bardzo ludzki wymiar. Oczywiście były instytucje, konferencje, publikacje, wyjazdy i oficjalne kontakty, ale najważniejsze okazały się relacje. To były spotkania ludzi, często bardzo bliskie, czasem wręcz przyjacielskie. Myślę, że znaczenie miało również to, że współpracowali ze sobą pedagodzy, czyli ludzie z natury rzeczy bardziej wrażliwi na człowieka i jego sytuację. Wojna pokazała wartość tych więzi w sposób szczególny.

Przyznam, że nie byłem pewien, czy w takich warunkach ukraińscy pedagodzy będą mieli jeszcze siłę, motywację i wewnętrzną gotowość, aby kontynuować działalność naukową i współpracę międzynarodową. Okazało się, że jest to możliwe. Oczywiście ta współpraca wygląda dziś inaczej: mniej jest bezpośrednich kontaktów, mniej wyjazdów, przyjazdy są rzadsze, wszyscy muszą liczyć się z realnym zagrożeniem, lękiem rodzin, ograniczeniami finansowymi i wojenną codziennością. Ale oprócz aspektów naukowych w czasie wojny najważniejsza była i pozostaje gotowość do pomocy w konkretnych sytuacjach. Dopóki mogliśmy, udostępnialiśmy miejsca noclegowe na Jelonkach czy przy Spiskiej. Zatrzymywali się tam nasi ukraińscy współpracownicy, osoby wracające przez Polskę z Niemiec czy Holandii, ludzie potrzebujący bezpiecznego miejsca choćby na jedną albo



Prof. Jan Łaszczyk i prof. Stefan M. Kwiatkowski przekazują symboliczny prezent prof. Wiktorowi Kocurowi, ówczesnemu rektorowi Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego im. H. Skoworody, podczas VIII Forum Naukowego „Ukraina–Polska/Polska–Ukraina”. Perejasław Chmielnicki, 2019 r.

Fot. archiwum prof. W. Kocura.



Prof. Jan Łaszczyk z prof. Wasylem G. Kremieniem podczas VI Forum Naukowego „Ukraina–Polska/Polska–Ukraina” w Narodowym Uniwersytecie Pedagogicznym im. M. Dragomanowa. Kijów, 2015 r. Fot. archiwum prof. N.G. Nyczkało.

dwie noce. Wiem też, że wielu kolegów reagowało podobnie jak ja, czasem zapraszając potrzebujących do własnych mieszkań. Bo jeśli trzeba pomagać, to trzeba i już. W takich chwilach najlepiej widać, czy współpraca była tylko formalna, czy naprawdę zbudowała mosty między ludźmi.



Prof. Jan Łaszczyk podczas seminarium w Narodowym Uniwersytecie Pedagogicznym im. M. Dragomana w Kijowie w 2014 roku. Na zdjęciach m.in. Prezydent W. Juszczenko, Prezydent L. Krawczuk oraz Przewodniczący Rady Najwyższej Białorusi S. Szuszkiewicz. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.

Co jest dla Pana Profesora najważniejsze w pracy ze studentami?

Najważniejsze jest nawiązanie pewnej nici porozumienia. Nie mam na myśli pobłażliwości czy rezygnacji z wymagań, ale wytworzenie takiej relacji, którą pedagodzy nazywają spotkaniem. Student powinien czuć, że jest traktowany poważnie, że jego wysiłek ma znaczenie, że ktoś widzi jego rozwój. Praca nauczyciela akademickiego nie kończy się na przekazaniu treści. Polega również na tworzeniu przestrzeni, w której młody człowiek może nabrać odwagi do własnego myślenia. Bardzo cenne są te momenty, kiedy po latach student wraca w jakimś krótkim zdaniu, spojrzeniu, uśmiechu. Czasem takie zwyyczajne spotkanie poza salą zajęć, poza egzaminem, poza sytuacją zależności, mówi więcej niż oficjalne podziękowania. Jest bezinteresowne, a przez to szczególnie prawdziwe.



Prof. Jan Łaszczyk z podziękowaniem dla Przewodniczącego II Ogólnopolskiej Olimpiady Wiedzy dla Młodzieży z Niepełnosprawnością. APS, Warszawa, 2015 r. Fot. archiwum APS.

Panie Profesorze, w moich rozmowach z nauczycielami, profesorami, osobami, które przez wiele lat pracują z dziećmi, uczniami lub studentami, bardzo często powraca doświadczenie szczególnego i złożonego stanu emocjonalnego, który w wywiadzie z profesorem Nellą Nyczkało określiliśmy jako „pedagogiczne szczęście”. Rozumiem je szerzej niż tylko chwilową radość z dobrze wykonanej pracy. To raczej głębokie poczucie zawodowej radości i sensu, które rodzi się wtedy, kiedy nauczyciel widzi, że jego obecność, wysiłek i relacja z drugim człowiekiem zostawiły dobry ślad. Czy Pan Profesor zna takie doświadczenie?

Przy tak szczególnym rozumieniu szczęścia odpowiadam na Pani pytanie twierdząco. To jest jakiś wymiar pracy nauczycielskiej, może nawet świadectwo zwieńczenia pewnego wysiłku, pewnych dążeń i pewnej chęci, która nie zawsze od razu się realizuje. W tej

pracy człowiek często długo nie wie, czy to, co robi, zostawia w drugim człowieku jakiś ślad. A potem przychodzi moment, czasem zupełnie niespodziewany, w którym okazuje się, że ten ślad jednak pozostał. Czasami ten ślad przybiera postać zainicjowania jakiejś zmiany, takiego kiełkującego ziarna. Sądzę, że jest to doświadczenie wielu nauczycieli.

Właśnie o tym myślę, Panie Profesorze. Dla mnie pedagogiczne szczęście nie jest ani samozadowoleniem, ani nagrodą zewnętrzną. To raczej ten moment, kiedy radość dziecka, ucznia, studenta czy doktoranta staje się również naszą radością. Kiedy trzylatek, który wczoraj nie potrafił założyć skarpetki, dziś robi to samodzielnie; kiedy dziecko wypowiada pierwsze pełne zdanie; kiedy przynosi laurkę albo po prostu przytula się z ufnością; kiedy student zaczyna samodzielnie myśleć; kiedy doktorant kończy rozprawę. Skala osiągnięcia może być różna, ale istota jest ta sama: sukces wychowanka staje się częścią wewnętrznego doświadczenia nauczyciela. To chyba bardzo bliskie temu, co dawniej wiązano z nauczycielską duszą: z tą szczególną zdolnością do współodczuwania i cieszenia się rozwojem drugiego człowieka.

Po moim jubileuszu miałem jeszcze zajęcia z grupą studentów kierunku prowadzonego przez nasz Zakład. Ta grupa uczestniczyła chyba także w uroczystości jubileuszowej. Na końcu zajęć jeden ze studentów, uzdolniony plastycznie, przyniósł mi zwykłą kartkę z zeszytu w kratkę. Jest na niej rysunek: moja postać stojąca za ławką szkolną, zwrócona w stronę studentów. Twarz tej postaci wykazuje znaczne podobieństwo z oryginałem. Student dopisał na nim: „Oto Mistrz z krwi i kości”.

Spojrzałem na niego i zapytałem: „Panie Stanisławie, pan sobie żartuje?”. A on odpowiedział, że wydawało mu się, iż to jest najlepszy sposób, w jaki może wyrazić naszą relację. Z tą grupą studentów rzeczywiście bardzo dobrze mi się pracowało. Było między nami dużo empatii, jakaś nić wspólnotowa. Oni są teraz na trzecim roku, nie mam już z nimi zajęć, ale kiedy spotykamy się na korytarzu, ich uśmiechy są bardzo wymowne. Jest w nich życzliwość i dobra pamięć wspólnej pracy. To bardzo buduje człowieka. Podobne sytuacje zdarzają się czasem zupełnie przypadkowo. Pamiętam, że dwa czy trzy miesiące wcześniej wszedłem na zajęcia w budynku D i spotkałem dwoje dawnych studentów logopedii. Miałem z nimi zajęcia kilka lat wcześniej. Zamieniliśmy kilka zdań i jedno z nich powiedziało, że dobrze im się ze mną pracowało. To było szczególnie ważne, bo nie działo się przed egzaminem, nie było związane z żadną potrzebą czy interesem. Było zwyczajne, a przez to szczere. Takie momenty są bardzo cenne. Kiedy człowiek spotyka się w najmniej oczekiwanych okolicznościach z czyjąś sympatią, z dobrą pamięcią, z życzliwością, to jest naprawdę miłe przeżycie. Jeśli nazwać to pedagogicznym szczęściem, to myślę, że jest to bardzo dobre określenie.

**I chyba właśnie dlatego te sytuacje są tak poruszające. One nie mają charakteru oficjalnego podziękowania, nie są wpisane w ceremoniał, nie wynikają z obowiązku. Przycho-
dzą niespodziewanie, a jednak odśtaniają sens pracy pedagogicznej.**

Dlatego są takie ważne. Powiem więcej: bardzo tego, co Pani nazwała „pedagogicznym szczęściem”, potrzebujemy. Ta potrzeba wynika chyba z samej natury pracy pedagogicznej i z pewnej wrażliwości człowieka. Dlatego w pracy ze studentami bardzo ważna jest dla mnie umiejętność budowania relacji.

Jak w tym kontekście Pan Profesor rozumie dobre promotorstwo albo, szerzej, dobrą opiekę nad młodym badaczem?

Dobre promotorstwo powinno kształtować umiejętność dokonywania wyborów. Unikam sytuacji, w których przydzielam dyplomantowi problematykę badawczą oraz sposoby jej eksploracji. To wypracowujemy wspólnie. Nie chodzi o to, żeby student zrealizował program zaprojektowany przez promotora. Kieruję się tutaj zasadą sformułowaną przez G. Polya: „niech znajdą tyle, ile okaże się to możliwym”. Młody badacz potrzebuje wsparcia, ale potrzebuje też samodzielności. Potrzebuje kogoś, kto pomoże mu zobaczyć problem, uporządkować myślenie, nauczy odpowiedzialności za słowo i metodę, ale nie odbierze mu własnej drogi. W tym sensie opieka nad młodym badaczem wymaga równowagi: trzeba wspierać, wymagać, rozmawiać, pomagać porządkować myślenie, ale nie odbierać drugiemu człowiekowi prawa do własnej drogi.



Prof. Jan Łaszczyk podczas immatrykulacji studentów pierwszego roku. Inauguracja roku akademickiego 2015/2016 w APS. Fot. archiwum APS.

Czego najbardziej potrzebuje młody badacz?

Potrzebuje zaufania, wymagań i cierpliwości. Zaufania, bo bez niego nie podejmie własnego ryzyka intelektualnego. Wymagań, bo bez nich nie rozwinie warsztatu. Cierpliwości, bo dojrzewanie naukowe nie odbywa się natychmiast. Potrzebuje też doświadczenia wspólnoty. Nauka nie jest wyłącznie samotnym pisanem tekstów. Jest rozmową, sporem, wspólnym szukaniem, czasem także uczeniem się od ludzi, którzy myślą inaczej.

Mogłam tego doświadczyć osobiście. Bardzo dobrze pamiętam nasze pierwsze spotkanie w Zubercu, choć minęło od niego ponad dwadzieścia lat. Było to podczas Ogólnopolskiego Seminarium Metodologicznego organizowanego przez promotora mojej

rozprawy doktorskiej, prof. Franciszka Szloska. W pierwszej chwili byłam onieśmiewiona, może nawet przestraszona: powaga Pana Profesora, precyzja wypowiedzi, stanowczość w dyskusji, czarna broda i oczy, które zdawały się widzieć głębiej i sięgać dalej niż zwykłe spojrzenie, budziły respekt. A jednak bardzo szybko zobaczyłam, że tam pod powiekami kryje się oblicze dobrego, wrażliwego człowieka. Pamiętam nasze rozmowy nad górskim potokiem, kiedy omawialiśmy moje badania, a ja – młoda, niepewna, dopiero szukająca własnego miejsca w nauce – czułam się wysłuchana, potraktowana poważnie i naukowo zaopiekowana.

Wtedy napisałam wiersz „Taki miły Ktoś”¹:

Taki miły Ktoś

*z zamilczenia brody czarnego lasu
pięknodusza pozdrawiała świat
i wieszała koralowe pociechy
na szyi kolejnego dnia*

*firanki rzęs odstaniały okna duszy
gościnnej
nie widziałam
i wystraszyłam swój motyli cień
czarnymi błyskami oczu
a przecież one zapraszały do walca*

*na przystanku ciepła dłoń
głaskała sierść kociego jeża
i moją małą niepewność
a wiatr na czarnej brodzie
kołysał troski do snu*

Później, kiedy pracowałam już nad rozprawą doktorską i konsultowałam z Panem Profesorem opracowanie wyników badań, to doświadczenie tylko się umocniło. Zawsze spotykałam się z ogromną uważnością i życzliwością. Nigdy nie czułam, że zabieram Panu Profesorowi cenny czas, choć przecież doskonale wiem, jak wiele miał Pan obowiązków. Było w tym coś bardzo dla mnie ważnego: wymagania, ale bez nacisku; rady w relacji uczeń/mistrz, ale bez usztywniającego dystansu; rozmowa, w której młody badacz czuje, że może podejmować dialog i dyskusję, że jego praca naprawdę jest traktowana poważnie. Czy łatwo łączyć wymagania z życzliwością?

Nie zawsze łatwo, ale w pracy akademickiej jest to konieczne. Życzliwość bez wymagań może stać się pobłażliwością, a wymagania pozbawione życzliwości – chłodną surowością albo zwykłym naciskiem. Młody człowiek powinien wiedzieć, że wymaga się od niego nie po to, by go zawstydzić czy osłabić, lecz dlatego, że traktuje się go poważnie.

¹ B. Szurowska, „Taki miły Ktoś”, *Rospoje*, Polska Oficyna Wydawnicza, 2003, s. 14.

Wymaganie może być formą szacunku, jeśli towarzyszy mu uważność na człowieka: na jego możliwości, ograniczenia, tempo dojrzewania i prawo do własnej drogi. W pracy ze studentem czy doktorantem potrzebna jest właśnie taka równowaga – konsekwencja bez odbierania godności, precyzja i koncentracja, ale bez chłodu, życzliwość bez rezygnacji z zasad. Trzeba wymagać, ale tak, żeby te wymagania nie raniły i nie zniechęcały; nie wolno zapominać, że po drugiej stronie zawsze jest człowiek.



Grupa uczestników Ogólnopolskiego Seminarium Badawczego w Tatrach Słowackich. Zuberec, 2008 r. Fot. archiwum prof. F. Szloska.



Grupa uczestników Ogólnopolskiego Seminarium Badawczego podczas uroczystej kolacji. Zuberec, 2003 r. Fot. archiwum prof. F. Szloska.



Prof. Jan Łaszczyk wraz z profesorami Janem Sikorą, Stanisławem Kaczorem, Januszem Gęsickim i Elżbietą Sałatą podczas obrony rozprawy doktorskiej Beaty Szurowskiej – w oczekiwaniu na wynik obrad komisji doktorskiej. Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, Warszawa, 2006 r. Fot. archiwum B. Szurowskiej.

Jakie wartości były i są dla Pana Profesora najważniejsze?

Pierwsze wartości wyniosłem z domu: pracę, obowiązek, odpowiedzialność, wrażliwość na potrzeby drugiego człowieka. W domu rodzinnym niekoniecznie mówiło się o nich wielkimi słowami, ale one były obecne w codzienności. Trzeba było robić swoje, nie uchylać się od wysiłku, pamiętać, że obok jest drugi człowiek. W pracy akademickiej te wartości przybrały inną postać, ale nie zmieniły się zasadniczo. Odpowiedzialność oznaczała dla mnie troskę o uczelnię, o studentów, o zespół, o tradycję i przyszłość miejsca, w którym pracowałem. Oznaczała także gotowość ponoszenia konsekwencji własnych decyzji.

Czym jest odpowiedzialność w nauce?

Odpowiedzialność w nauce to rzetelność wobec prawdy, ale także wobec człowieka. Nie wystarczy pisać, publikować, budować koncepcje. Trzeba pytać, czy one mają sens, czy nie są oderwane od rzeczywistości, czy nie czynią człowieka przedmiotem własnych założeń. Dobrze prowadzona refleksja metodologiczna chroni pedagogikę przed łatwymi deklaracjami i pozwala sprawdzać, czy piękna idea ma jakiegokolwiek warunki realizacji. W pedagogice jest to szczególnie ważne, bo przedmiotem naszej refleksji nigdy nie jest abstrakcyjny mechanizm, lecz człowiek: uczeń, nauczyciel, rodzic, student, wychowanek. Dlatego odpowiedzialność naukowa musi łączyć się z odpowiedzialnością etyczną.



Uczestnicy I Letniego Zakopiańskiego Spotkania Metodologicznego „Zakopane – 2022”, Zakopane, 2022 r. Fot. z archiwum B. Szurowskiej.

Jakie miejsce w życiu akademickim zajmują zaufanie i życzliwość?

Bez zaufania trudno budować wspólnotę. Uczelnia nie może być miejscem, w którym wszyscy tylko się kontrolują, bronią przed sobą i rywalizują. Oczywiście nauka wymaga krytycyzmu, ale krytycyzm nie musi niszczyć zaufania. Można się spierać i jednocześnie życzyć sobie dobrze. Można wymagać i jednocześnie wspierać. Życzliwość jest ważna nie jako dekoracja, ale jako warunek pracy z ludźmi. Nie oznacza braku wymagań. Oznacza raczej podstawowe nastawienie: widzę w drugim człowieku kogoś, kto ma wartość, kto może się rozwijać, kto zasługuje na szacunek.

Panie Profesorze, rozmawiamy dużo o nauce, Akademii i pracy, ale przecież jest także życie osobiste. Co poza uczelnią daje Panu Profesorowi poczucie sensu i radości?

Najtrudniej mówi się o bliskich, ale rodzina była i jest dla mnie bardzo ważna. Z żoną jesteśmy związani od wielu lat. W ubiegłym roku obchodziliśmy pięćdziesięciolecie wspólnego życia. Nie jestem łatwy we współżyciu, zwłaszcza rodzinnym, więc tym bardziej cenię to, że udało nam się stworzyć rodzinę i przejść razem tak długą drogę. Poznaliśmy się z żoną na koloniach letnich. Potem, już w ciągu roku, odbywały się spotkania kadry kolonijnej i te kontakty zaczęły się utrzymywać. Tak to się zaczęło i stopniowo przerodziło się w decyzję, że chcemy być razem.

Tak intensywne życie zawodowe musiało jednak mocno wpływać na życie rodzinne...

To było bardzo trudne. Rodzina była i jest zapleczem, ale także miejscem zobowiązań. Bardzo cenię w żonie jej wyrozumiałość i cierpliwość wobec moich różnych uwarunkowań,

wyjazdów, delegacji, obozów, nieprzewidywalnych sytuacji i spraw zawodowych, które nieraz burzyły wcześniej ustalone plany. Ta jej wyrozumiałość była dla naszego wspólnego życia bardzo ważna. Jednocześnie cenię także to, że żona potrafi mieć swoje potrzeby i ostatecznie je egzekwować. Rodzina nie może opierać się na tym, że jedna osoba stale ustępuje drugiej. Trzeba uczyć się wzajemności.

Jest Pan Profesor również ojcem i dziadkiem...

Mam córkę i syna, a także trzy wnuczki i wnuka. Jestem z nich bardzo dumny i mocno przeżywam wszystko, co ich dotyczy – ich sukcesy, radości, ale także trudności. To są sprawy, wobec których trudno pozostać z boku, nawet kiedy dzieci są już dorosłe. Rodzina jest dla mnie bardzo ważna także dlatego, że w chwilach istotnych potrafimy być razem i wzajemnie się wspierać. Cieszę się, że mamy taką potrzebę, żeby ze sobą przebywać. Mniej więcej raz w miesiącu wszyscy przyjeżdżają do nas na niedzielne spotkania. Jest wtedy sporo zamieszania, trzeba się wszystkimi zająć, ale to jest dobre i potrzebne. Wobec wnuków jestem chyba bardziej tolerancyjny niż byłem wobec własnych dzieci. Widzę w nich więcej mocnych stron, a słabsze pewnie częściej bagatelizuję. Wydaje mi się, że to bardzo udane towarzystwo. Bycie dziadkiem daje inną perspektywę: mniej codziennej odpowiedzialności wychowawczej, a więcej łagodności, towarzyszenia, obserwowania i radości z ich obecności.



Prof. Jan Łaszczyk z synem Marcinem podczas pochodu pierwszomajowego.
Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.



Prof. Jan Łaszczyk z synem Marcinem w swoim mieszkaniu w Warszawie. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.

Czy jest takie miejsce, do którego Pan Profesor szczególnie lubi wracać – miejsce ważne, bliskie, w którym Pan odpoczywa i dobrze się czuje?

Takim miejscem jest Mężenin, rodzinne strony nad Bugiem. Nie tylko lubię tam wracać, ale rzeczywiście wracam. Mieszka tam moja kuzynka, a my przysposobiliśmy sobie jeden z budynków gospodarczych i mamy tam miejsce na lato. Chętnie tam jeżdżę. Chętnie wracają tam moje dzieci, a teraz okazuje się, że także wnukom to miejsce się podoba. Jest tam cicho, jest las, zieleń, niedaleko rzeka. Dzieci chodzą nad wodę, jeżdżą na rowerach. To miejsce nadal żyje w naszej rodzinie.

Podczas jubileuszu szczególnie poruszające było to, że ten rodzinny Mężenin powrócił także przez sztukę Pana wnuczki. W Galerii APS prezentowana była wystawa Ewy Ziętary „Miejsce odbicia. Mężenin-Kolonia przez soczewkę Ewy Ziętary”. To realny, artystyczny dowód, że to miejsce stało się ważne dla kolejnego pokolenia w Pana rodzinie.

Ta wystawa była dla mnie szczególnie ważna, bo połączyła kilka spraw naraz: rodzinę, pamięć, miejsce dzieciństwa i spojrzenie wnuczki. To, że ona zobaczyła Mężenin po swojemu i że potrafiła nadać temu artystyczny kształt, było dla mnie bardzo poruszające. Nie chodziło o żaden wymuszony gest jubileuszowy, ale o coś znacznie głębszego – o pokazanie, że miejsce ważne dla mnie stało się także w jakimś sensie ważne dla niej. Mężenin ma dla mnie znaczenie nie tylko krajobrazowe, ale także mnemoniczne. Tam wracają obrazy dzieciństwa: rodzice, dziadkowie, wuj Kazimierz, las, Bug, rodzeństwo, szkoła, wspólne zabawy, praca w gospodarstwie, cały świat pierwszych doświadczeń.



Prof. Jan Łaszczyk z żoną Marią Łaszczyk w Mężeninie-Kolonii – miejscu rodzinnym i miejscu powrotu. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.



Prof. Jan Łaszczyk podczas zabawy z wnukiem Frankiem w ogrodzie. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.



Prof. Jan Łaszczyk z wnukiem Frankiem podczas rodzinnej uroczystości. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.



Prof. Jan Łaszczyk z wnuczką Ewą podczas sadzenia drzewka w ogrodzie w Mężeninie. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.



Prof. Jan Łaszczyk z wnuczką Ewą podczas rodzinnej wycieczki do Parku Dzikich Zwierząt w Kadzidłowie. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.



Prof. Jan Łaszczyk z rodziną podczas spotkania z okazji 70. urodzin Profesora. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.

Mówimy o odpoczynku, dlatego chciałabym zapytać także o pasję. Czy jest albo było w życiu Pana Profesora coś, co dawało szczególną radość, pozwalało odetchnąć?

Przez długi czas bardzo ważne było dla mnie żeglowanie. Kiedy przychodziła połowa kwietnia, zaczynało mnie ciągnąć do wody. Zwykle w okolicach majowych dni organizowaliśmy pierwsze pływanie. Teraz już nie jeżdżę tak często, wiek i okoliczności są inne, ale przez lata żagle były dla mnie czymś bardzo ważnym.

Co jest takiego w żeglowaniu, że stało się dla Pana Profesora tak ważne?

Żeglowanie dawało poczucie niezależności. Człowiek płynie tam, gdzie chce, robi coś po swojemu. Ale to jest niezależność bardzo umowna, bo kiedy zaczyna padać deszcz, kiedy wieje silny wiatr albo trzeba płynąć pod wiatr, sytuacja natychmiast pokazuje, że człowiek nie jest panem wszystkiego. I właśnie to było w żeglowaniu pociągające. Można było sprawdzić siebie, swoje sprawstwo, zdolność poradzenia sobie w trudnych warunkach. Bywały momenty niepokoju, kiedy naprawdę pojawiała się obawa, jak to się skończy, ale wtedy nie ma czasu na bezradność. Jest mobilizacja, zawierzenie sobie i poczucie, że jednak trzeba sobie z tym poradzić. Pierwszy rejs odbyliśmy z żoną jeszcze przed ślubem. Wypłynęliśmy z Mikołajek właściwie już przy zachodzie słońca. Początkowo było pięknie: lekki wiatr, muzyka, woda, taki nastrój, który zostaje w pamięci. A potem zaczęły się trudności: wiatr przybrał na sile, zrobiło się ciemniej, sytuacja przestała być tylko romantyczna,

a stała się prawdziwą próbą. Dla mojej żony był to prawdziwy chrzest żeglarski. Myślę, że po tamtym pierwszym doświadczeniu nigdy naprawdę żeglowania nie polubiła. Tym bardziej doceniam to, że mimo wszystko towarzyszyła mi w tej pasji. Później pływalismy już bardziej systematycznie, także z dziećmi. To było dobre również dla nich. Na łódce rodzina stawiała się takim małym gniazdem. Byliśmy blisko, zdani na siebie, razem.



Prof. Jan Łaszczyk z wnuczką Ewą i wnukiem Frankiem podczas rodzinnego rejsu żeglarskiego. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.



Prof. Jan Łaszczyk z żoną Marią Łaszczyk podczas rejsu żeglarskiego. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.



Prof. Jan Łaszczyk podczas rejsu żeglarskiego. Fot. archiwum prof. J. Łaszczyka.

A książki? Czy jest taka lektura, która była dla Pana Profesora ważnym doświadczeniem czytelnicznym i zostawiła wyraźny ślad w pamięci?

Czytam mniej niż kiedyś, bo kiedy człowiek jest zmęczony, nawet książka czasem przestaje smakować. Staram się śledzić życie społeczne i polityczne, czytam tygodniki, czasem sięgam po powieści. Współczesna proza bywa mozaikowa, nie zawsze ma klasyczną, linearną akcję, więc można ją czytać fragmentami, bez konieczności uważnego śledzenia fabuły. Z młodości bardzo mocno pamiętam natomiast *Kamienne tablice*. Ta powieść jakoś we mnie została. Być może dlatego, że współbrzmiała z moją ówczesną sytuacją wewnętrzną. Mam też chyba tak, że filmy czy książki przeżywam przede wszystkim w chwili oglądania albo czytania. Nie zawsze umiem później dokładnie opowiedzieć ich treść. Wiem jednak, że były ważne, że coś we mnie zostawiły, czasem może nawet coś zmieniły, ale niekoniecznie zachowuję je w pamięci w postaci łatwej do streszczenia.

Jak Pan Profesor patrzy dziś na współczesną edukację – na jej możliwości, ale także na to, co nadal ją ogranicza?

Widzę w niej stałe napięcie między możliwościami a ograniczeniami. Z jednej strony wiemy dziś więcej o rozwoju człowieka, zdolnościach, twórczości, technologiach, relacji, potrzebach dziecka. Z drugiej strony szkoła nadal pozostaje mocno związana z systemem organizacyjnym, który nie zawsze sprzyja rozwojowi. Są lekcje, dzwonek, program, konieczność przygotowania dziecka do następnego etapu edukacji. Szansą jest większa świadomość nauczycieli w zakresie różnorodności uczniów. Dzisiaj łatwiej mówić

o edukacji włączającej, o uczniu zdolnym, o potrzebie wspierania i rozwijaniu możliwości, o indywidualizacji, o twórczości. To duża zmiana. Oczywiście nie oznacza to, że wszystko działa idealnie, ale już to większe niż dawniej uznanie podmiotowości każdego ucznia jest bardzo ważne.

A co pozostaje największym wyzwaniem?

Największym wyzwaniem jest chyba to, żeby nie zgubić osoby w systemie i technologii. Żeby edukacja nie stała się wyłącznie realizacją programu, przechodzeniem przez kolejne etapy i dostosowywaniem się do organizacyjnych wymagań. I żeby technologia nie zastąpiła relacji.

Jakiego nauczyciela potrzebuje współczesne dziecko?

Autentycznego. Dzieci bardzo szybko wyczuwają fałsz. Nauczyciel nie powinien tworzyć teatru ani udawać kogoś, kim nie jest. Nauczyciel powinien mieć także pewien pokój wewnętrzny. Jeśli człowiek sam jest rozbity, targany sprzecznościami, jeśli nie umie poradzić sobie ze sobą, trudno oczekiwać, że będzie dawał dzieciom poczucie bezpieczeństwa. To nie znaczy, że nauczyciel ma być idealny. Ma być prawdziwy, wewnętrznie odpowiedzialny i na tyle uporządkowany, żeby dziecko mogło przy nim poczuć się bezpiecznie.

A jakiej uczelni potrzebuje współczesny student?

Student potrzebuje uczelni, która nie jest tylko miejscem zaliczania przedmiotów. Potrzebuje środowiska, wspólnoty, kontaktu z ludźmi, rozmowy. Mam wrażenie, że dawniej życie studenckie miało bardziej wspólnotowy charakter. Mieszkanie w akademiku, spotkania, wspólne wyjazdy, długie rozmowy – to wszystko tworzyło naturalne środowisko nie tylko studiowania, ale także dojrzewania. Dzisiaj młodzież jest chyba bardziej zindywidualizowana. Nie oznacza to oczywiście, że jest to złe. Czasy się zmieniają, zmieniają się sposoby komunikowania, studiowania, bycia razem. Warto jednak chronić te formy życia akademickiego, które uczą współobecności, wspólnego myślenia i odpowiedzialności za relacje.

Co powinno być najważniejsze w kształceniu nauczycieli? Jaką rolę powinna dziś pełnić pedagogika?

Najważniejsze jest połączenie przygotowania praktycznego, wiedzy o rozwoju człowieka i formowania postawy. Liceum pedagogiczne dawało kiedyś bardzo dobre podstawy rzemiosła nauczycielskiego. Była szkoła ćwiczeń, praktyka, metodyka, realny kontakt z klasą. Dzisiaj także nie można kształcić nauczyciela wyłącznie teoretycznie. Nauczyciel musi rozumieć codzienność szkoły, dziecko, rodzinę, ograniczenia systemu, ale także własną rolę jako osoby, która tworzy warunki rozwoju. Pedagogika powinna przypominać, że w centrum jest człowiek. Nie procedura, nie technologia, nie sama instytucja, ale człowiek – z jego możliwościami, ograniczeniami, siłą, słabością, potrzebą rozwoju i potrzebą akceptacji. Pedagogika powinna pomagać rozumieć człowieka i tworzyć warunki, w których może on stawiać się bardziej sobą, rozwijać swój potencjał i przekraczać własne ograniczenia, a nie tylko coraz lepiej wykonywać narzucone zadania.



Świąteczne spotkanie pracowników Zakładu Metodologii i Pedagogiki Twórczości. Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, Warszawa, 2024 r. Fot. archiwum Zakładu Metodologii i Pedagogiki Twórczości.

Kiedy myśli Pan Profesor o przyszłości Akademii, jakie miejsce zajmuje w tym myśleniu tradycja Marii Grzegorzewskiej? Co z jej przesłania powinno pozostać w Akademii nienaruszalne?

Z Marią Grzegorzewską nie miałem osobistego związku. O istnieniu PIPS-u i tej szkoły dowiedziałem się właściwie dzięki jednej ze studentek, którą spotkałem podczas kolonii. Dlatego później, kiedy zacząłem szukać możliwości zatrudnienia, zwróciłem się w stronę tej uczelni i to miejsce stało się dla mnie ważne. Nie pamiętam, żeby w czasie moich studiów szczególnie dużo mówiło się o Grzegorzewskiej. Dopiero później, kiedy przeczytałem jej listy, zobaczyłem, że ta kobieta musiała głęboko kochać to miejsce. Zrozumiałem wtedy, że ona sama i jej dzieło wymagają szacunku, kontynuacji i możliwie najlepszego rozwoju. Dla mnie nie były to tylko słowa zapisane w tradycji uczelni. Myślę, że przesłanie Grzegorzewskiej było mi wewnętrznie bliskie. Szczególnie ważne wydaje mi się przekonanie o akceptacji człowieka takim, jakim jest: z jego ułomnością i siłą, z ograniczeniami i możliwościami. To powinno pozostać w Akademii czymś niezmiennym, nawet jeśli zmieniają się czasy, struktury, programy i sposoby organizacji pracy. Akademia powinna zachować swój humanistyczny rdzeń: szacunek dla człowieka, uważność na jego indywidualność, gotowość wspierania, a nie formatowania. Powinna być miejscem dla rozwoju człowieka. Można zmieniać strukturę, procedury, programy, technologie, formy kształcenia, organizację pracy. Nie wolno jednak utracić tego, co najważniejsze: przekonania, że w centrum jest człowiek.

Co chciałby Pan Profesor powiedzieć studentom, młodym nauczycielom i pracownikom naukowym, którzy są na początku swojej drogi?

Powiedziałbym im, że mieli wielkie szczęście, wybierając tę drogę. Może coś ich natchnęło, może ktoś im dobrze doradził, może zadziałał szczęśliwy przypadek albo dobre uwarunkowanie. Pedagogika jest drogą trudną, ale daje możliwość spotkania z człowiekiem i uczestniczenia w jego rozwoju. Powiedziałbym im także, żeby zachowali z siebie jak najwięcej. Żeby pracowali nad sobą, ale niczego nie udawali. Młodym nauczycielom życzyłbym, żeby umieli tworzyć warunki rozwoju, a nie tylko wymagać. Żeby pamiętali, że wychowanie nie polega na modelowaniu człowieka według własnego wzorca, lecz na wspieraniu go w dojrzewaniu do własnej, samodzielnej drogi. Młodym pracownikom naukowym powiedziałbym natomiast, żeby nie patrzyli na naukę jedynie w perspektywie awansu, punktów, publikacji i funkcji. To nie może stać się sensem pracy naukowej. Nauka wymaga rzetelności, cierpliwości, uczciwości i odwagi samodzielnego myślenia. Wymaga też wspólnoty, bo człowiek rozwija się w kontaktach z innymi. Trzeba mieć mistrzów, ale przychodzi moment, w którym trzeba pójść własną drogą. Nie z pychy, lecz z odpowiedzialności za własny rozwój i za to, co osobiście uznaje się za ważne. Najbardziej trzeba chyba wystrzegać się udawania, bezmyślnego powtarzania, potrzeby dominowania nad innymi i takiego uprawiania nauki, które oddala od człowieka. Pedagogika, która przestaje widzieć człowieka, traci własny sens.

Gdyby miał Pan Profesor zamknąć to przesłanie w jednym zdaniu?

Trzeba pracować uczciwie, pozostać wiernym sobie, znać własne granice, umieć słuchać innych, ale nie rezygnować z tego, co uznaje się za fundamentalne; dbać o własny rozwój i tworzyć ludziom możliwości rozwoju, nie odbierając im prawa do samodzielności, wyboru i odpowiedzialności za siebie.

Panie Profesorze, bardzo dziękuję za tę rozmowę. Cieszę się, że miałam szczęście Pana spotkać, bo tak właśnie czuję się zawsze w Pana obecności – obdarowana spotkaniem z Człowiekiem. Od tego pierwszego spotkania w Zuberu zawsze przy Panu, Panie Profesorze, czuję się dobrze i bezpiecznie, jakby tworzyła się wokół mnie przestrzeń ciepła, uważności i życzliwości – takie dobre pole emocjonalne 😊. Lubię konferencje, na których jesteśmy razem, spotkania na uczelni, wspólną pracę, a nawet służbowe zebrania, ponieważ zawsze pojawia się wtedy przestrzeń na dobrą, ludzką rozmowę. W takich chwilach nie tylko uczę się od Pana Profesora, ale też zbliżam się do ciepłej i gościnnej duszy; do Człowieka, przy którym można być sobą, bez lęku i bez cienia, który kładzie trwogę na zieleni.

Dziękuję, że pozwala mi Pan doświadczać tej ważnej ludzkiej obecności – mądrej, uważnej, życzliwej i prawdziwej. Obecności, która pozwala i pomaga rozkwitać.



Prof. Jan Łaszczyk i dr Beata Szurowska podczas wywiadu z cyklu „Portret Człowieka”. Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, Warszawa, 2026 r. Fot. archiwum B. Szurowskiej.